

W NUMERZE: Kultura w gminie – blaski i cienie ■ Czy odzyskanie niepodległości w 1918 roku spełniło nadzieje polskiej młodzieży? ■ Proza Leona Gomolickiego ■ Zaproszenie do Wiednia ■ Jak napisać literacki „szlagier” – dobre rady nie tylko dla początkujących ■ Pomysł na... kilka lat więzienia ■ Dalszy ciąg „Historii pewnej miłości” ■ Zdziwienie Widoka ■ Czy warto kochać statystykę? ■ Sport

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 44 (1090) ROK XXI

29 PAŹDZIERNIKA 1978 R.

CENA 3 ZŁ



TOMASZ SOLDENHOFF

NIE MA GRANIC DLA KULTURY

Napotkani przechodnie trafiają bez pudła:
— Dom kultury? Wiadomo, w rynku, za kościołem...
To samo, gdy spytasz o kino czy klub.

W Strykowie porządek i wygoda: cała kultura siedzi w jednym miejscu. Budynek z dala przyciąga wzrok nieregularną bryłą i jasną fasadą z wielkimi literami **DOM KULTURY** pośrodku. Tak zostało, choć centralna część tej jakby z trzech złożonej budowli od dwóch lat nosi urzędowe imię **MIEJSKO-GMINNEGO OŚRODKA PROPAGANDY I KULTURY**.

W ośrodku jest biblioteka, sala z niewielką estradką, po sąsiedzku kino „Jutrzenka”, klub książki i prasy oraz człowiek na etacie, który jeszcze nie podejrzewa jakie nowe, ważne zadania gotują mu w łódzkiej centrali w myśl „podstawowych założeń dalszego rozwoju i upowszechniania kultury w województwie miejskim łódzkim do roku 1985”...

Nim skonfrontujemy założenia z rzeczywistością, cofnijmy się nieco w przeszłość.

DECYZJE DAWNE I NOWE

Rok 1974. Komitet Łódzki PZPR przyjmuje program rozwoju kultury w Łodzi do 1980 roku. Z wnikliwej analizy potencjału Łodzi wypływają wnioski wskazujące kierunki rozwoju

ju kultury w mieście, które zdążyło już stanąć w rzędzie czołowych ośrodków kultury w kraju. Formułuje się kierunki rozwoju bazy oraz postulaty pod adresem wszystkich środowisk twórczych. Zapada uchwała o realizacji przyjętego programu rozwoju.

Rok 1975. Kraj przeżywa wielką reformę administracyjną. W skład nowo powstałego województwa miej-

skiego łódzkiego wchodzi poza Łódź spore ośrodki miejskie oraz małe miasta i tereny wiejskie. I choć kierunki rozwoju kultury Łodzi przedstawione w „Programie rozwoju kultury” pozostają obowiązujące, łódzkie placówki artystyczne i kulturalno-wychowawcze czekają nowe zadania. Temat „kultura na szczyśle małego miasta i gminy” nie da się już zbagatelizować. Potrzeba stać się ocena skuteczności dotychczasowych działań. No i w miarę jednolita wizja rozwoju upowszechniania kultury na przedpolach wielkiego miasta.

W początkach listopada 1978 roku na specjalnej sesji Rady Narodowej Miasta Łodzi pod dyskusję radnych przedłożony zostanie program rozwoju i upowszechniania kultury w miastach i gminach województwa miejskiego łódzkiego.

JAKIE SĄ ZAŁOŻENIA TEGO PROGRAMU?

Strykowski Miejsko-Gminny Ośrodek Propagandy i Kultury nie przypadkiem pojawił się w czołówce tych rozważań.

To jakby hasło wywoławcze nowego programu, w którym podstawową jednostką organizacyjną mają być właśnie M/G OPIK-i. Jedynie w miastach przemysłowych, jak Pabianice i Żgierz umacniane będą istniejące już **ROBOTNICZE CENTRA KULTURY**. Ale ośrodki propagandy i kultury nie mają być miejscem, gdzie będzie można jedynie pożytyć książkę, podyskutować czy posłuchać koncertu w wykonaniu miejscowych, bądź przybyłych z niedalekiej Łodzi artystów.

W systemie upowszechniania kultury M/G OPIK-i przejmą funkcje koordynatorów pozbawionych dotąd wspólnego programu, niespójnych i przypadkowych działań. Ze zadanie to jest niełatwe, świadczy fakt, iż żaden jeszcze z dziesięciu powstałych już w województwie ośrodków nie wywiązuje się na razie z tej najważniejszej roli: programisty i koordynatora.

Przyczyny są na ogół prozaiczne: kłopoty lokalowe, limity w etatach; tej zaś kadry którą udało się zatrzymać w ośrodkach brakuje doświadczenia. Do Gminnych (Miejskich) Funduszy Rozwoju Kultury — które mają być podstawą materialną działalności ośrodków — naczelnicy gmin odnoszą się jeszcze dość ostroż-

nie. Czasem nie mogą (czy nie chcą) wykorzystywać do końca swych uprawnień. Czasem też zasłaniają się niekorzystnymi „warunkami”. Logika niektórych argumentów bywa zaskakująca. Jeden z naczelników wyraził na przykład pogląd, że skoro u niego w gminie ludzi na kilometr kwadratowy mniej niż gdzie indziej, mniejsze również muszą być apetyty na kulturę. Inny naczelnik, administrator jednej z najbliższych Łodzi gmin, powiedział mi wprost:

— Owszem, mieliśmy kino, na seansach bywało pięć osób. U nas ludzie wola wsiąść w autobus i pojechać do „Bałtyku”. Kultury, proszę pana, nie da się „robić na siłę”. Też prawda, ale wystarczy 10 minut drogi do sąsiedniej gminy, by dowiedzieć się czegoś akurat odwrotnego, choć nie daleko z niej do kulturalnej metropolii. Powiada naczelnik:

— Ludzie cały dzień siedzą w Łodzi — w pracy, ale odpoczywać chcą u siebie. Przykład? Taki Justynów, z którego niemal wszyscy dojeżdżają do pracy w Łodzi. Koło SZMP potrafiło jednak wywołać zainteresowanie miejscowym klubem i biblioteką...

Dalszy ciąg na str. 3!



LECH KUNKA

Polska kultura, a szczególnie łódzkie środowisko twórcze poniosły dotkliwą stratę. 15 października zmarł wybitny malarz Lech Kunka, jeden ze współzałożycieli i długoletnich pedagogów łódzkiej Wyższej Szkoły Plastycznej.

Należał do niewielkiej, przecież grupy twórców, z których Łódź mogła być naprawdę dumna. Tutaj skończył malarzskie studia pod opieką Władysława Strzemińskiego, którego osobowość i teoretyczne założenia najścisiej oddziaływały

przez wiele lat na malarstwo Kunka. Obok innego łodzianina — Stefana Krygiera — wkrótce po śmierci mistrza dołączył do katowickiej grupy St — 53 (od pierwszych liter nazwiska Strzemińskiego). Jej członkowie wyznaczyli sobie zadanie praktycznego zrealizowania teorii największego polskiego konstruktivisty. Lech Kunka pośród ówczesnej „młodej awangardy” zajmował szczególną pozycję: był nie tylko jednym z najgorliwszych wyznawców unizmu i „teorii widzenia”, ale także najbardziej konsekwentnych. Od roku 1946 miał już za sobą doświadczenia bezprzedmiotowej abstrakcji (której jeszcze nikt z młodych nie uprawiał) a co ważniejsze — od 1948 r. przebywał we Francji i uczył się tam w pracowni wielkiego Fernanda Legéra.

Z „legerowskimi” obrazami Kunka wziął udział w słynnej wystawie Arsenalu, ale niedługo potem bez reszty, i to niemal do końca twórczej drogi, pochłonął go strukturalizm. Jego obrazy płasko rzeźbione lub wykonywane techniką collage, były coraz to nowymi studiami na temat istniejących w przyrodzie, lecz ukrytych przed bezpośrednim doświadczeniem struktur — jakby powiększonych mikroskopowo zdjęć roślinnych komórek, ziarn piasku, księżycowych kraterów. W różnych okresach czasu były to kompozycje „gorące” — gwałtowne kolorystycznie i nieregularne — lub też „zimne”: wyważone kompozycyjnie i barwnie. W latach sześćdziesiątych w miejsce farb zaczął używać gotowych przedmiotów, które jakby zbliżyły się w ten sposób do codzienności, której plastycznego ekwiwalentu poszukiwał właściwie nieustannie. W latach siedemdziesiątych nastąpił znów okres pewnego „uspokojenia”, szukania wyrazu poprzez zestawianie kolistych i kwadratowych form w pewnym z góry przyjętym porządku. Takie właśnie kompozycje pokazał na ostatniej dużej wystawie w Łodzi w 1974 r.

Lech Kunka nie miał na pozór nic wspólnego z nurtem „metaforycznym”, tak popularnym obecnie. Ale przecież jego obrazy także w jakiś szczególny, umowny sposób pokazywały, że w czasach gwałtownych przemian nie ma miejsca dla idealnych, wyrozumowanych struktur.

Była to przede wszystkim aluzja do osobistych przeżyć i emocji artysty. Patrząc na jego obrazy odnosiło się zawsze wrażenie, że osobowość twórcy jakby „nie mieści się” w ramach, które sam wybrał. Strukturalizm Kunka nigdy nie był mechaniczny i odczuwalny, najcieśniej zbliżał się do tzw. malarstwa materii — szczególnej odmiany abstrakcji bliskiej ludzkiemu doświadczeniu. Zawsze cechował tego artystę swoisty dualizm, przemierzanie konstrukcyjnego planu budowy obrazu z gwałtowną potrzebą eksperymentu dociekania, nieustannej zmiany. Dlatego były to obrazy żywe, w których dobrze wyczuwano się bijący puls nakręty jedynie sztywną pokrywą. I takie — głęboko w to wierząc — pozostaną.

ANDRZEJ MAJER

POLACY I POLONIA W NAUCE ŚWIATOWEJ

Staraniem Klubu Dziennikarzy Naukowych SDP i Uniwersytetu Łódzkiego zorganizowano sesję popularno-naukową nt. „Polacy i Polonia w nauce światowej”. Rektor UŁ prof. dr Romuald Skowroński poinformował uczestników sesji, że łódzka uczelnia podpisała umowy o stałej współpracy i wymianie naukowej z 18 uniwersytetami w różnych krajach. W wielu przypadkach nawiązanie kontaktów stało się możliwe dzięki inicjatywie i pomocy zagranicznych naukowców polskiego pochodzenia. W rezultacie podobnych umów tylko w ubiegłym roku akademickim Uniwersytet Łódzki odwiedziło 211 uczonych z całego świata a 540 pracowników naukowych UŁ przebywało za granicą.

— Przykład Uniwersytetu Łódzkiego jest jednym z bardzo wielu ilustrujących rozwijającą się współpracę polskich naukowców z kolegami zagranicą polskiego pochodzenia — powiedział obecny na łódzkiej sesji kierownik działu oświaty i nauki Towarzystwa

Łączności z Polską Zagraniczną „Polonia”, mgr Stanisław Szumski.

— Współpraca ta szczególnie intensywnie zaczęła się rozwijać po 1971 roku. Ogromne znaczenie odegrała tu uchwała Biura Politycznego KC PZPR, a następnie opracowany program rządowej stałej współpracy i rozwijania łączności z Polską zagranicą. Wprowadzone zostały nowe jakościowe elementy, które wpłynęły na rozszerzenie i polebienie kontaktów polonijnych z krajem. Początek dał udział inżynierów i techników polskiego pochodzenia w obradach Kongresu Techników Polskich w 1971 roku. O znaczeniu jakie władze naszego kraju przywiązują do kontaktów z Polską świadczyły przede wszystkim spotkania i sekretarza KC PZPR — Edwarda Gierka z inżynierami i technikami polskiego pochodzenia, którzy uczestniczyli w VI Kongresie Techników Polskich w Poznaniu. W obradach VII Kongresu uczestniczyli 132 osoby polskiego pochodzenia z 18 krajów. Zgromadzone przy tej okazji przeszło 400 nazwisk inżynierów i techników w różnych krajach stałego zamieszkania.

Nawiązanie współpracy, bądź pogłębienie jej z obywatelami polskiego pochodzenia w różnych krajach — podkreślił mgr Stanisław Szumski — przyniosły też wzajemne kontakty innych grup zawodowych. Np. we wrześniu odbył się w Łodzi I Zjazd Polonijny Włóknieników, na który przybyło 14 osób z 4 krajów, 13 gości zagranicznych polskiego pochodzenia uczestniczyło w Zjeździe Historyków w Toruniu, 60 lekarzy z 12 krajów przybyło na zjazd Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, a na spotkanie prawników polonijnych przyjechało do Piotrkowa Trybunalskiego 40 osób z 9 krajów.

— Jakże są rezultaty tego rodzaju kontaktów? — zapytał mgr Szumski.

— Mamy setki przykładów korzyści polegających na zbliżeniu do Polski wszystkich, którzy poczuwają się do polskiego pochodzenia. Nader często właśnie oni ułatwiają przedstawicielom polskich placówek naukowych, instytucji handlowych i gospodarczych nawiązywanie współpracy z ich krajami osiedlenia. Towarzystwo Łączności z Polską Zagraniczną „Polonia” zgromadziło około tysiąca nazwisk uczonych polskiego pochodzenia mieszkających w różnych krajach.

— Dokładamy wszelkich starań — powiedział dalej mgr Szumski — aby wzajemna współpraca polskich placówek naukowych z uczonymi polskiego pochodzenia stale się rozwijała i pogłębiała. Pragniemy dotrzeć w najbliższym czasie do nowych grup zawodowych w różnych krajach. Służa temu celowi m.in. działania Towarzystwa „Polonia”.

O szczególnych współpracach historyków polskich z historykami amerykańskimi obszerny referat wygłosił prof. dr Zofia Libiszowska z Instytutu Historii Uniwersytetu Łódzkiego. Szczególne miejsce w tych kontaktach zajmuje współpraca z Fundacją Kościuszkowska.

Dr Barbara Tyrańska z Instytutu Filologii Polskiej UŁ wygłosiła na łódzkiej sesji bardzo interesujący referat na temat zaradnień polskiego języka mówionego w Wielkiej Brytanii, a prof. dr Jerzy Starnawski mówił o zainteresowaniach polską literaturą we Francji w XIX wieku.

K.T.

W HOŁDZIE AUTOROWI „ZIEMI OBIECANEJ”

W sobotę 21 października na plac Reymonta przybyło kilkuset tysięcy łodzian by wziąć udział w uroczystości odsłonięcia pomnika Władysława Reymonta. U stóp pomnika zebrała się przedstawicielstwo władz politycznych i administracyjnych miasta z I sekretarzem KŁ PZPR, przewodniczącym Rady Narodowej Łodzi — Bolesławem Koperskim i prezydentem — Józefem Niewiadomskim. Są także przedstawiciele władz centralnych SD i Związku Zawodowego Robotników — Jan Koprowski, krewni wielkiego pisarza, członkowie Komitetu Organizacyjnego budowy pomnika, pisarze łódzcy, przedstawiciele świata artystycznego i naukowego, liczne delegacje zakładów pracy i szkół, łódzkich cechów rzemieślniczych. W ludowych strojach wyróżnia się grupa członków Amatorskiego Zespołu Regionalnego im. Reymonta z Lipiec Reymontowskich.

Uroczystość otwiera Stanisław Wójcik, przewodniczący Komitetu Budowy Pomnika, przypominając bogaty dorobek działalności społecznikowskiej łódzkich cechów rzemieślniczych, którego ukoronowaniem jest zbudowanie w tak krótkim czasie pomnika Laureata Nobla.

Następnie zabrał głos tow. Bolesław Koperski, mówiąc m.in.: „Oddajemy dziś mieszkańcom Łodzi pomnik wielkiego polskiego pisarza — Władysława Reymonta, twórcę, który przysporzył krajowi wiele sławy i uznania, laureata Nagrody Nobla, człowieka, który swym piórem uwiecznił narodziną naszego miasta, trud łódzkiego robotnika oraz życie i zwyczaje polskiej wsi. Kiedy mówimy o wielkich dziełach Władysława Reymonta o „Chłopach” i „Ziemii obiecanej” podziwiamy w nich nie tylko mistrzostwo pióra, ogromny mistrzowski talent autora, ale także jego szacunek dla prawdy, jego olbrzymią umiejętność obserwowania zjawisk współczesności. Uniwersytecie życia był mu warsztat krawiecki i kolejarska praca. Dzieła jego otaczane powszechnym szacunkiem znane są szerokim kręgiem polskiego społeczeństwa, są z pokolenia na pokolenie czytane z żarliwością i wielkim wzruszeniem.

Władysław Reymont dla nas łodzian jest pisarzem szczególnie bliskim. Jego powieść „Ziemia obiecana” stała się artystycznym dokumentem epoki historii Łodzi. Z wiernością rzadko spotykaną w literackim dziele, z bezkompromisową ostrością ukazał w niej autor kulisy powstawania fortun łódzkich fabrykantów, panującą w ich środowisku prawa bezwzględnej walki”.

Następnie I sekretarz KŁ przypomniał tradycje kulturalne robotniczej Łodzi podkreślając, że dopiero w czasach Polski Ludowej stał się możliwy wszechstronny rozwój kultury i nauki miasta. „My łodzianie z dumą podkreślamy, że miasto dzięki naszej wspólnej pracy przekształca się z ziemi obiecanej, o której pisał Reymont w miasto, które kochamy, które z każdym rokiem pięknieje, dla którego nie szczędzimy pracy naszych rąk i umysłów... Pomnik Reymonta jest jeszcze jednym dowodem wzajemnego przenikania się w życiu naszego miasta treści kultury i treści pracy. Cieszy nas, że wzbogaca on pejzaż miasta, że będzie jeszcze bardziej wiązał nas uczuciowo z jego przeszłością i teraźniejszością”.

Na zakończenie I sekretarz KŁ podziękował twórcom pomnika: artyście-rzeźbiarzowi Wacławowi Wołoszewiczowi, członkom Komitetu Organizacyjnego wśród których zasłużyli się szczególnie: Stanisław Wójcik, Janusz Szczepański, Edward Skula, a także zarządce Zakładów Sprzętu Przeciwpowodziowego „Progaz”, która po raz pierwszy tak wielki odlew wykonała szybko i udanie.

W imieniu środowiska literackiego zabrał głos prezes Zarządu Oddziału ZLP w Łodzi — Jerzy Wawrzak, zwracając uwagę na wyjątkowe związki pisarza z Łodzią, jego powściągniętą i trudną drogę życiową, którą osiągnął po najwyższych laurach, jego niezmordowany charakter, a także dominującą świadomość obowiązku twórcy wobec społeczeństwa. Przedstawiciel środowiska piśmienniczego, które od dawna postulowało budowę pomnika Reymonta, złożył wyraz uznania i wdzięczności tym wszystkim, którzy przyczynili się do urzeczywistnienia tej idei, będącej najwyższym wyrazem hołdu składanego przez współczesnych swym atamanom.

Zebrał łodzianie ze wzruszeniem i aplauzem obserwując moment odsłonięcia bryły pomnika. Delegacje składają wiązanki kwiatów.

Uroczystości „reymontowskie” mają jeszcze swój dalszy ciąg. W pobliskiej Szkole Muzycznej im. Wieniawskiego otwarta została wystawa pn. „Łódź — Reymontowi” zorganizowana staraniem Muzeum Historii Miasta. Tutaj także młodzież szkoły przedstawiła udane widowisko poświęcone pisarzowi, a także najbardziej zasłużyli przy realizacji budowy pomnika otrzymali wysokie odznaczenia państwowe i resortowe. Dopełnieniem uroczystości było interesujące seminarium, na którym referaty o twórczości Reymonta i jego związkach z Łodzią wygłosili doc. Barbara Kocowa i prof. Jerzy Starnawski.

T.S.

POLUBIĆ AKORDEON

Muszę przyznać, że choć w czasach muzycznego terminowania zdarzało mi się grywać w orkiestrze akordeonistów (ale nie na akordeonie) i to parokrotnie nawet w miejscu dostojnym, bo w filharmonii, nigdy jednak nie byłem wielbicielem tego instrumentu. Nie dziwiły mnie też obojętne na dźwięk akordeonu reakcje melomanów.

Alścił nawet oni — bywały koncerty w filharmonii — muszą obiektywnie przyznać, że coś się zmienia w niewzruszonej od lat hierarchii instrumentów. Ten „gorszy” członek wielkiej rodziny instrumentów przeżył w ciągu ostatniego półwiecza drogę prawdziwego społecznego i artystycznego awansu, stając się bohaterem kariery godnej naszych demokratycznych czasów...

Nie stał się u nas akordeon instrumentem narodowym, ale nie utracił nie ze swej — zdobytych w latach międzywojennych — popularności. Umocniły ją wpływy i wzory idące ze Związku Radzieckiego, gdzie młodych akordeonistów otaczała się troskliwą opieką, jak i z Za-

chodu. (Na akordeonie w wolnych chwilach grywa prezydent Francji?)

Nasze środowisko muzyczne dość późno, bo dopiero u schyłku lat pięćdziesiątych dostrzegło wartość akordeonu. Od roku 1959 datują się w Polsce organizacyjne starania o podniesienie rangi tego niedocenianego w szkolnictwie muzycznym i salach koncertowych instrumentu, o zapewnienie mu artystycznego i naukowego statusu. W tym właśnie roku powstało Stowarzyszenie Akordeonistów Polskich. Do średnich szkół muzycznych w Warszawie i Katowicach wprowadzono zawodowe nauczanie gry na akordeonie. W pięć lat później w warszawskiej PWSM powstała klasa akordeonu, później w pozostałych konserwatoriach (z wyjątkiem Łodzi). Następnym ważnym wydarzeniem w owej „rewolucji” w świecie muzyki było wejście Stowarzyszenia Akordeonistów Polskich do władz Międzynarodowej Federacji Akordeonowej, założonej w 1935 roku jedynej dotąd na świecie organizacji muzyków i

sympatyków jednego tylko instrumentu. Polska stała się też organizatorem międzynarodowych kursów mistrzowskich, a ostatnio — organizatorem 31 Międzynarodowego Konkursu Akordeonowego w Łodzi. Ta ostatnia impreza (w dniach od 20 do 24 września) ugruntowała pozycję polskiej akordeonistyki w świecie.

Jak przekonali się stali bywalcy konkursów (w tym przeszło 200 obserwatorów z 23 państw) poziom tej imprezy z roku na rok zwiększył. Między innymi na pewno dzięki stale wzbogacaniu oryginalnemu repertuariowi akordeonowemu. Pierwszy „poważny” utwór na ten instrument napisano przed pięćdziesięcioma laty. Dziś istnieje obszerna literatura, w którą nie mały wkład wnieśli również polscy kompozytorzy (i muzycy, np. Warszawski Kwintet Akordeonowy od 17 lat propagujący utwory Polaków). Po raz pierwszy programem obowiązkowym był na międzynarodowym konkursie utwór naszego kompozytora — Andrzeja Krapowskiego („Sonata na akordeon”).

Odbywając się w Łodzi 31 Konkurs stał się dobrą okazją do zaprezentowania twórczości łódzkich kompozytorów od lat

piszących m.in. na akordeon. Podczas koncertu muzyki akordeonowej, towarzyszącego przesłuchaniom, usłyszeliśmy „Fantazję na sopran i kwintet akordeonowy” Andrzeja Hundiaka, a w czasie koncertu finałowego „Concerto paloco” na akordeon i orkiestrę Bronisława K. Przybyskiego. Ale w repertuarze akordeonowym — obok coraz liczniejszych utworów oryginalnych (warto dodać, że koncert na akordeon i orkiestrę po raz pierwszy w tym roku znalazł się w programie „Warszawskiej Jesieni”) utrzymuje się nadal wiele dzieł klasycznych (choćby Bacha, Scarlattiego czy Liszta). Poziom budowy akordeonów jest dziś tak wysoki, że umożliwia praktycznie zagranie w oryginalne każdego utworu fortepianowego; adaptacje z innych instrumentów ograniczają się właściwie do techniki wykonania.

Czołówka zarysowała się właściwie już na I etapie. Sądząc po oklaskach, jakimi przywitał przed drugim przesłuchaniem Wiktor Karpiś, szybko stał się on faworytem publiczności, a jak się później okazało również — jurorów. W wykonaniu tak znakomitych, acz młodych prze-

cież jeszcze solistów, jak Karpiś i jego kolega Anatolij Zy-kow (zdobywca III miejsca), jak ich konkurenci z RFN: Werner Glutsch (II nagroda) i ekscentryczny Edwin Buchholz (dyplom specjalny) czy z USA Angelo Faella — V, Antony Rolando — VIII miejsce) lub Kanady (IV w konkursie Leonard Turnevicius), na najwyższych piętrach muzyki — akordeon gwałtownie oddala się od swego „popularnego” dziedzictwa, staje się pełnoprawnym instrumentem solistycznym i koncertowym, imponującym ścią organową pełnią ekspresji i brzmienia.

W 31 Międzynarodowym Konkursie Akordeonowym usłyszeliśmy trzy czołowe zespoły akordeonowe: Wiener Akordeon Kammerensemble — złożony z wielokrotnie nagradzanych, rutynowanych muzyków, zespół który wywołał jednak pewne kontrowersje (m.in. krytyczne uwagi wzbudził ten rodzaj elektronicznego wzmocnienia instrumentów, jak i zaprezentowali Austriacy), bardzo dla polskiej akordeonistyki zastąpiony Warszawski Kwintet Akordeonowy oraz żeński i młodzieżowy zarazem, pełen werwy Dęś Danske Harmonika Ensemble — laureat I

miejsca na konkursie orkiestr w Rotterdamie.

I tu uważył ktoś. Być może błądził, ale jeszcze można usłyszeć w Łodzi wielu innych również, znanych zespołów akordeonowych. Mówiono bowiem w kuluarach Konkursu o potrzebie i realnej szansie utworzenia w Łodzi stałej międzynarodowej imprezy akordeonowej — konkursu na utwór kameralny. Konkurs taki służyłby propagowaniu nowego, oryginalnego repertuaru akordeonowego, umocniłby zapewne pozycję tego instrumentu na koncertowych estradach. Gdyby zorganizować tę imprezę na zasadach podobnych do tych, które rządzą Międzynarodowymi Konkursami Akordeonowymi, inicjatywa ta nie byłaby zbyt kosztowna w realizacji. Polscy organizatorzy 31 „Coupe Mondiale” Stowarzyszenia Akordeonistów Polskich i Federacji Stowarzyszeń Kulturalnych województwa łódzkiego łódzkiego otrzymali wysokie oceny podczas tegorocznego konkursu. Może więc byłoby warto kontynuować w przyszłości znane w świecie tradycje łódzkich spotkań akordeonowych?

T.S.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stałe współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BLĄZEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZLEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

Zatem bliskość wielkiego ośrodka kultury nie musi oznaczać rezygnacji z prób rozwiązywania najbardziej podstawowych potrzeb kulturalnych tu, na miejscu. — w gminie. A w każdym razie bliskość ta nie może zwalniać władz administracyjnych od obowiązku pomagania kulturze. Ani władz, ani też placówek oświatowych, zwłaszcza tam, gdzie nie ma i w najbliższej przyszłości nie będzie M/GOPK-ów.

Oczywiście, pojawia się — natychmiast sporo wątpliwości. O co tu chodzi? Czy szkoły miałyby włączać się w upowszechnianie kultury dając jedynie miejsce, a może miejsce i instruktorów zarazem? A jeśli tak, to czy mają to być płatni instruktorzy, czy społecznicy, etatowi pracownicy kultury czy nieetatowi pasjonaci?

„ZACZAROWANE” SŁOWO?

Dylemat: udostępniać czy nie szkoły ludziom z całego środowiska na ogół nie istnieje.

— Jestem za udostępnianiem szkół po lekcjach — powiedział mi dyrektor Gminnej Szkoły Zbiorczej w Głownie Franciszek Baleja. — Pod jednym warunkiem: że zostanie porządek. Nie powinno zakłócać nauki.

Dyrektorowi przytakuje naczelnik Tadeusz Lis, który jednak w kwestii następnej okazuje się „konserwatyście”.

— Nauczycieli mamy wystarczająco obciążonych pracą... Ruszyła „dziesięciolatka”, wszystkich pedagogów obowiązuje samokształcenie, niejednemu jeszcze ciągnie studia zaoczne. Mieszka i uczy się w Łodzi...

I tu padają argumenty właściwie nie do zbitcia. Dojeżdżają nauczyciele, dojeżdżają dzieci. Z Woli Brozkowej do Głowna na przykład wszystkie. Kto je odwiezie po imprezie wieczorem do domu? Autobus wtedy nie chodzi, a Urząd Gminy nie ma środków transportu. Nie mają też odpowiednich środków podlegających mu zakłady pracy.

Właśnie tu, w Głownie najczęściej pada „zaczarowane słowo”: ETAT. Panuje nieco naiwna wiara, że razem z przydziałem etatu przysną kłopoty.

— Wiadomo, że ośrodki propagandy i kultury robią więcej, bo mają etaty. U mnie — mówi naczelnik — jeden pracownik, oprócz oświaty i kultury, ma jeszcze trzy inne zadania. Jego działanie w kulturze siłą rzeczy musi być sporadyczne. W terenie jedzie najczęściej, gdy potrzeba mu liczb do sprawozdań...

Na brak „człowieka, który by się zajął kulturą” narzeka również naczelnik Nowosolnej — Fabian Pytkowski. Powątpiewa w realność szerszego współudziału szkół w upowszechnianiu kultury...

— W miastach, w dzielnicach — mówi — sprawy kultury i oświaty łączy się, ale w gminie dyrektor szkoły nie ma obowiązku szefowania kulturze...

A i sekretarz Miejsko-Gminnego Komitetu Partii w Andrespolu — Józef Jastrzębski dodaje później:

— Szkoły z reguły dość ostrożnie wychodzą z inicjatywami do środowisk. Nauczyciele w murach szkoły czują się pewnie, podczas gdy na zewnątrz boją się każdego potknięcia.

Nie wszędzie podobne kompleksy tamują rozmach działania. Inne myślenie panuje w Strykowie, ale też czy można porównać pracę kulturalną w mieście, choćby małym, z pracą na wsi? Naczelnik Lis z Głowna stwierdza autorytatywnie:

— Nie ma żadnych porównań. Cykl życia inny, cykl dnia, zajęć. Działania muszą różnić się rozmachem. Na wsi dopiero późnym wieczorem jest czas na rozrywkę. Życie kulturalne wybiera w okresie zimowo-wiosennym.

W Strykowie mój notes zapełnia się nazwiskami najaktywniejszych społeczników. Wśród członków niedawno powstałego Towarzystwa Przyjaciół Strykowa widnieje Józef Mrdzałek — dyrektor Zbiorczej Szkoły Gminnej i sekretarz propagandy KM-G PZPR w jednej osobie. I sekretarz Komitetu Partii — Marian Góralski ujmując rzecz prosto:

— U nas ludzie wiedzą, że nikt nie za nich nie zrobi, nie naprawi podłogi w bibliotece, nie pomaluje ścian w sali ośrodku... W takim mieście jak Łódź ludziami stwarza się warunki rozwoju kultury, a oni często wolą siedzieć w domu... My musimy je sobie stwarzać sami. I przynajmniej byłem z początku zaskoczony tak duża frekwencja w klubie książki i prasy.

Nie wszędzie jest jednak tak jak w Głownie czy Strykowie, gdzie istnieje towarzystwo społeczno-kulturalne, umacniają się tradycje (w Głownie na przykład już myśli się o przekształceniu obchodów 550-lecia w stałe Dni Miasta), albo jak w Andrespolu, gdzie młoda władza pamięta jeszcze stawkę w zetemesie; toteż



Foto: W. Parys

NIE MA GRANIC DLA KULTURY

może dlatego rozumienie kulturalnych potrzeb jest tu większe. Naczelnik gminy Stanisław Jakubowski próbuje wykorzystać wielką społeczną pasję dla sportu i rekreacji, łącząc je z kulturą.

KŁOPOTY I DROGI WYJŚCIA

W Strykowie i Andrespolu rozkrecają się ładnie patronaty łódzkich instytucji artystycznych nad ruchem amatorskim. Teatr Wielki przekazał fortepian, Teatr Muzyczny — stroje, niekiedy dojdzie kwalifikowana siła...

Instruktorzy... Niby nie powinno być problemu, skąd ich brać. Żyje w województwie prawie pół tysiąca osób z weryfikacją. Z tego połowa zaledwie prowadzi obecnie zespoły. Te 30, 40 złotych za godzinę nie może być pokusą. A kogo nieci perspektywa nocnych dojazdów do domu? Jedyne rozwiązanie: instruktorzy — nauczyciele zamieszkał w gminie. Jest ich jeszcze niewielu, a przecież — jak ktoś zauważył — za tym, że nauczyciel mieszka akurat na wsi wca-

le nie musi iść ochota do pracy kulturalnej w środowisku... Naczelnicy, kiedy o tym wspominałem, robili minę sfinksa... Zresztą, nazwiska nie są tutaj ważne. Ważne, że jest problem.

Ala to jeszcze nie koniec tradycyjnych rozterek. W opowiadaniu naczelnika Lisa z Głowna plusy i minusy, osiągnięcia i troski układają się na przemian, jak słodkie ciasto i kwaśny krem w torcie — przekładanec:

— Mamy ludowy zespół „Makolice”, który kultywuje unikalne tradycje księżackiego folkloru. Ale zespół ten ćwiczy na klepisku w stodole albo w szkolnym korytarzu, bo tu jest lastrisko, a w sali gimnastycznej parkiet, który trzeba oszczędzać. W Woli Brozkowej przejmujemy baraki po szkole. To niewątpliwie wzmocnienie. Ale niedaleko, w Woli Lubankowej prywatny gospodarz budynku wymawia lokal klubowi książki i prasy. „Kłeska urodzaju” zdarza się rzadziej. Maja w Toporowie ładną nawet salę, ale nie umieją jej wykorzystywać: życie kulturalne tam żadne...

Walka o każdy metr kwadratowy toczy się w Nowosolnej. Chce się tu wykorzystać nawet garaże po OSP. Gdzie indziej adaptuje się budynek po szkole. Już jednak dokumentacja robót w większym budynku — w Sta-

rych Skoszewach, musi jeszcze swoje odlecieć na biurku naczelnika; brakuje wykonawcy. Kierunek tworzenia bazy jest jednak dobry, zgodny z założeniami jej rozwoju w województwie. Rezerwy są, trzeba je tylko umieć dobrać. I umieć gospodarzskim okiem ocenić, gdzie wystarczy tylko remont, a gdzie konieczna jest adaptacja.

Są jeszcze inne możliwości wykorzystania istniejącej już bazy. Mówi się, że tam gdzie zabraknie na razie M/GOPK-ów, stworzyć ma ją szkoła. Co to oznacza?

Czytelnictwo w koncepcji rozwoju kultury i jej upowszechniania zajmuje wciąż główne miejsce.

Rozmieszczenie i wyposażenie bibliotek dalekie jest od ideału. W gminach filie gnieźdzą się zazwyczaj w pomieszczeniach adaptowanych, nie zawsze szczęśliwie. Pokoje są małe, a więc niefunkcjonalne, bo książek przyrasta.

Wyjściem może być jednak łączenie bibliotek, scalanie zbiorów. Szkoły zazwyczaj dysponują lepszymi warunkami, do nich można przenieść również gminne księgozbiory. Zbliży to niewątpliwie środowisko do pla-

cówek oświaty, którym — jak już mówiliśmy — przypadnie w nowym programie upowszechniania kultury większa rola. Przede wszystkim polegać może ona zaś na upowszechnianiu książki. Naturalnie, poprzez dobrze, to znaczy nieprzypadkowo zaopatrzone biblioteki. Jak jednak wynika z kontroli radnych (z Komisji Oświaty, Wychowania i Kultury RN m Łodzi), w wielu bibliotekach szkolnych na razie króluje przy-

padek. W ośrodkach miejskich z kolei inicjatywa mogłaby wyjść od zakładów pracy. Może w ramach likwidowania zbędnych etatów administracyjnych zwolniłoby się nieco pomieszczeń na rosnące księgozbiory? Zresztą, w tym określonym wypadku każdy sposób jest dobry, byle skuteczny. Chyba że — tak jak w Nowosolnej — zakłady same za dużo miejsca nie mają dla siebie. W Nowosolnej na przykład istnieją tylko drobne filie i oddziały przedsiębiorstw, zatrudniające nie więcej niż dziesięciu pracowników.

OSTATNI, LECZ PIERWSZY

w hierarchii ważności element programu rozwoju i upowszechniania kultury w WML wyrasta z przekonania, iż w obrazie przyszłej Łodzi zatrać się różnice między warunkami życia w wielkim mieście i w jego „satelitach”. Proces ten przyspiesza rozwój komunikacji, rozwój zarówno masowych jak i indywidualnych środków poruszania się.

W czym więc możemy upatrywać przyszłość rozwoju kultury w województwie? Komu przynależą priorytety? Miejskim i gminnym ośrodkom propagandy i kultury oraz gminnym zespołom zbiorczym, czyli mówiąc krótko — działaniom upowszechniowym w „terminie”, czy też może raczej coraz szerszym kontaktom ze sztuką — w salach zawodowych instytucji kultury? Odpowiedź na to pytanie przynosi głos prof. dr Natalii Gajl — przewodniczącej Komisji Oświaty, Wychowania i Kultury przy Radzie Narodowej Miasta Łodzi:

— Nie możemy w tej chwili przyjąć takiego modelu kultury, w którym obok Łodzi istniałoby szereg analogicznych, wielokierunkowo rozwijających się ośrodków. Żadne z miast województwa nie jest w stanie dorównać w rozwoju Łodzi. Szczególnie w ostatnich latach Łódź stała się miastem intensywnego promieniowania kultury, ośrodkiem łączącym się w skali kraju, w niejednej dziedzinie znanym również za granicą. Główną zasadą i kierunkiem działania powinno więc być śledzenie najszerzych mas społeczeństwa z „terenu” do łódzkich instytucji kulturalnych i artystycznych, wszystkimi oczywiście dostępnymi środkami. Śledzenie naturalnie poprzedzone świadomym wyborem, selekcją wartości kulturalnych. Konieczne jest więc wcześniejsze docieranie z reklamą, informacją, z biletami, aby ten wybór umożliwić, aby zachęcić. Te działania na ogół są jeszcze zbyt słabe.

Trzeba bowiem sobie szczerze powiedzieć, że przypadkowy repertuar prezentowany w objazdowym kinie czy średniej wielkości grupie artystów wyjeżdżających „w teren” nie ma już dzisiaj właściwie żadnego szans w konkurencji z telewizją, która do wielu ośrodków dotarła wcześniej, spowodowała skok w świadomości i upodobań kulturalnych. Coraz częściej też telewizja właśnie daje owo podstawowe wychowanie estetyczne, przygotowuje do odbioru dzieł trudniejszych.

Czy to oznacza, że całe upowszechnianie ma się odbywać w Łodzi? Oczywiście, nie.

Nie ma granic dla kultury. Co więc musimy popierać w małych ośrodkach? Z pewnością kluby — wyposażone w biblioteki, niedużo nawet sale wystawowe i sale do spotkań. Również zespoły regionalne, wszelkie kółka zainteresowań, bo oprócz duchowego, kultura ma przecież aspekt materialny, często nie mniej ważny. Sądzę, iż właśnie teren jest najlepszym miejscem rozwijania inwencji w kulturze materialnej, „użytkowej” niejako (kółka gospodyń, kluby zainteresowań służące samokształceniu, itp.).

Takich ośrodków kultury jak kluby istnieje już dużo, ale moim zdaniem pierwszą linią powinna być szkoła. Szkoła często zasklepiła się w działalności dydaktycznej. Ale może i powinna wyjść na zewnątrz, do środowiska.

I wreszcie sprawa koordynacji oraz programowania. Tu ważne zadania spoczywają na Federacji Stowarzyszeń Kulturalnych WML i gminnych oraz miejskich ośrodkach propagandy i kultury. One to powinny koordynować i programować oba modele: upowszechniania wartości kulturalnych w terenie i przyciągania szerokiego rzeszy odbiorców kultury do tych ośrodków w Łodzi, które emanują najwyższe wartości kultury.

TOMASZ SOLDENHOFF

KULTURA W LICZBACH

Przedstawione tu liczby zostały zaczerpnięte ze statystyk Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi i dotyczą stanu rozwoju i upowszechnienia kultury w województwie łódzkim (POZA ŁÓDZIĄ). O ile nie zostało to inaczej zaznaczone, liczby charakteryzują sytuację za rok 1977.

I. BIBLIOTEKI I CZYTELNICTWO

— Stan ilościowy bibliotek: 56 (w porównaniu z 53 w roku 1975); a w tym: 5 miejskich z 10 filiami, 2 miejsko-gminne, 9 gminnych z 30 filiami, 146 punktów bibliotecznych na wsi i 60 punktów w miastach;

— Księgozbiory zwiększają się rocznie średnio o 30 tys. jednostek, na zakup których przeznaczają się rocznie 2 mln. złotych;

— Wskaźnik ilości książek na 100 mieszkańców wzrósł i wynosi 190,9 (w 1975 roku — 180,7);

— Wskaźnik zakupu nowości na 100 mieszkańców wzrósł i wynosi 13,9 (w 1975 roku — 11,7);

— Wskaźnik ilości czytelników na 100 mieszkańców obniżył się i wynosi 17,3 (w 1975 roku — 20,6);

— Wskaźnik ilości wypożyczeń na 100 mieszkańców obniżył się i wynosi 289,9 (w 1975 roku — 350);

OBIE TENDENCJE SPADKOWE MAJĄ CHARAKTER OGÓLNOPOLESKI.

— Stan kadrowy w bibliotekach, 23-lach i punktach wynosi 74 osoby, w tym 43 — na pełnych etatach;

— 40 osób spośród pracowników na pełnych etatach ma wykształcenie średnie, 3 — podstawowe;

II. PLACÓWKI KULTURALNO-WYCHOWAWCZE

— Stan ilościowy wynosi: 106 placówek, z czego 67 przypada na środowiska wiejskie. Są to: Ośrodki Propagandy i Kultury (3 w miastach, 7 w gmi-

nach), domy kultury (1), Ośrodki Nowoczesnej Gospodyni (6), domy ludowe (4), kluby „Ruchu” i Rolnika (ogółem 46); najwięcej placówek działa w gminach Stryków i Pabianice (9), najmniej w gminach Ozorków, Zgierz, Nowosolna (po 3);

— Stan kadrowy wynosi 67 pracowników merytorycznych na pełnych etatach, z czego w miastach — 56, w gminach — 11;

— Większość kadry jest stosunkowo doświadczona: ok. 60 procent legitymuje się stażem pracy powyżej 5 lat;

— Etatowej kadry merytorycznej nie mają kluby „Ruchu” i Młodego Rolnika. Organizatorami działalności k-w są tu: aktywni społecznicy oraz pracownicy zatrudnieni na rytmach jako sprzedawcy;

III. KINA I UPOWSZECHNIANIE FILMU

— Bazę stanowi 11 kin stałych w 8 miastach i 1-ej wsi oraz 4 kina ruchome;

— Średni wskaźnik ilości miejsc na 1 tys. mieszkańców wynosi 13,6 (średnia krajowa — 15,8 proc.), co sytuuje województwo na 11 miejscu w Polsce;

— W 1977 roku statystyczny mieszkaniec wsi był w kinie 1,6 razy (mieszkaniec Łodzi — 5,2);

— Najbardziej chionym na film skupiskiem ludności poza Łodzią jest od lat Stryków, gdzie wskaźnik frekwencji w kinie wynosi 6,9 na 1 tys. mieszkańców (w Łodzi — 5,2); przeciętny wskaźnik frekwencji w województwie wynosił rocznie 1,6 na 1 tys. mieszkańców (w Łodzi 4-4,5);

IV. UPOWSZECHNIANIE TEATRU

— Bazę stanowi 7 sal „teatralnych”, z czego tylko 1 w pełni zaspokaja potrzeby teatru zawodowego (Aleksandrów), a 3 — częściowo, 3 inne nie spełniają w ogóle;

— Bazę te obsługuje Teatr Ziemi Łódzkiej, który w 1977 roku dał w terenie 23 przedstawienia dla 6 tys. widzów;

— Teatry Lalkowe „Pinokio” i „Arlekin” dały w terenie 120 przedstawień dla ok. 30 tys. widzów;

— Rozszerza się ruch wycieczek do teatrów w Łodzi np. za pośrednictwem kółek rolniczych odwiedziło teatry w 1977 roku ok. 2.500 osób (uczestników 98 wycieczek);

V. UPOWSZECHNIANIE MUZYKI I SZTUKI ESTRADOWEJ

— Filharmonia Łódzka zorganizowała w 1977 roku ogółem 949 audycji, z których 248 poza Łodzią, dla ok. 100 tys. uczniów;

— Łódzkie Towarzystwo Muzyczne zorganizowało w 1977 roku poza Łodzią 73 koncerty, a w I półroczu 1978 r. już 136; LTM prowadzi również w terenie 16 Społecznych Ognisk Muzycznych z 14 punktami nauczania;

— „Estrada Łódzka” daje rocznie w terenie 78 koncertów muzyki poważnej. W 1977 roku „Estrada” zorganizowała w terenie 466 imprez estradowych, co stanowi wzrost o ponad 100 proc. w porównaniu z rokiem 1975. Tylko 30 proc. z tej liczby obejmują imprezy zlecone, pozostałe są imprezami biletowymi;

— Stowarzyszenie Muzyki Estradowej zorganizowało w 1977 roku w terenie 114 imprez (w 1976 roku — 108);

VI. AMATORSKI RUCH ARTYSTYCZNY

— Stan ilościowy: 161 zespołów (bez zespołów przyшкоlnych), z czego w środowisku wiejskim działa 67;

— Tylko 10 procent zespołów działa ponad 10 lat, prawie 45 procent — poniżej 1 roku;

— W zespołach uczestniczy ok. 2,5 tys. osób. Najbardziej liczne są zespoły taneczne (grupują ok. 400 osób);

— W rozmieszczeniu zespołów w gminach zalegała się dysproporcja (od 6 zespołów w gminie Stryków do 1 w gminach Nowosolna i Ozorków);

VII. SPOŁECZNY RUCH KULTURALNY

— Działalność (licząc z Łodzią) 30 samodzielnych stowarzyszeń społ.-kult.: w terenie przeważają towarzystwa muzyczne (12), 18 towarzystw skupia Federacja Stowarzyszeń Kulturalnych WML, z pozostałymi współpracuje ona przez Radę Programową.

LEON GOMOLICKI

NA TEMAT GUZIKA

Ostatnio miałem w szereg nocy pod rząd całkiem realne sny. W marzeniach sennych bez mojej wiedzy i woli odnajdywałem się w naszym dalekim i na wpół zapomnianym już mieszkaniu i spędzałem dni na tak banalnych a tak nieprawdopodobnie zaprzeczających nam małych czynnościach, że coś takiego jeszcze może istnieć na świecie. Snułem się po pokojach, na których metraże i ściany nakładały się metraże i ściany innych naszych, a dalej w głąb czasu — tylko moich mieszkań. Oglądałem dobrze wyuczone niegdyś przedmioty, zdawałyby się dotykać materialnie, a tak widmowo odległe.

Na przykład, krzesło. To, które stało wypełniając wąską przestrzeń między pianinem a drzwiami do pokoju jadalnego. Było to wyłącznie moje krzesło, ponieważ prócz mnie nikt na nim nie siedział i z nikim innym nie było tak jak ze mną zaprzeczających. Wieczorami w godzinach muzykowania mojej matki wtułałem się w jego ramiona, aby przylgnąć uchem do instrumentu wsłuchiwać się w odgłosy nawołujących się dźwięków. Miało miękkie siedzenie i oparcie obite skórą — po osiem gwoździaków na każdym boku o główkach w kształcie złotych rozetek. Znalazłem każde zadrażnienie, każdą plamkę na skórze i drewnianych oboczkach. I cóż, wychodząc po raz ostatni z otoczenia mego dzieciństwa, nie pożegnalem się, ani nie rzuciłem okiem nawet, pozostawiając go na pół wieku plus jeszcze piętnaście lat uwiecznionym w tym samym kwadracie parkietu. Stoi tam, choć ani parkietu, ani domu, w którym stało, już dawno nie ma, ale stoi nie straciwszy swojej materialnej dotykalskości, uniemożliwiając przez moją pamięć. Jest to los rzeczy i ludzi, krzyżujących z naszym swoje życie. Schodząc z naszego pola widzenia zachodzą za jego tylne ślepe granice, aby na zawsze zatrzymać się w ruchu, zastępując w polach elizjum pamięci. Robi się z czasem natłok podobnie uniemożliwiających fantomów i trzeba z trudem lawirować w zatłoczonych pokojach zatopionych w czasoprzestrzeni mieszkani.

Sprawa komplikuje się, jeżeli do tych widmowych cząstek materii istnienia dochodzą zmyły obaw, strachów, wszelkich utrapeł i niepewności, które każda epoka wymyśla w nadmiarze, aby niekać człowieka, nadwytłając jego serce i utrudniając mu oddech. Są przemijające, lecz przemijające pozostawiają blizny po zadrażnieniach, już wprawdzie nierealnych, a niemniej odżywiających się w nawrotach, omiających jak ból zęba, wycierpujących jak zapalny stan w kolanie, jak odbierająca sen migrena.

Najczęściej też nawiedzała mnie w snach oddalona teraz przestrzeń i czasem nasza biedna, w ścianach domu więziona, mała rzeczywistość. Rzeczywistość spraw tak drobnych, a tak pogmatwanych nie do rozplątania, że obezwładniała i paraliżowała życie, jak niteczki liliputów — Gulliwera. Można też powiedzieć mała o wielkich następstwach. Dla przykładu i uaoaczenia wspomnę chociażby nawroty sennie do naszych poszukiwań guzików. Świadomie używam liczby mnogiej — poszukiwań, ponieważ trwają w rzeczywistości istotnie już od dość dawna i jak dotąd nie zostały uwieńczone sukcesem. I stąd temat guzika jako hasło wywoławcze tej prozy (życia).

Chudzielec z roku tydzień, ale ma guziczek. Gdy słyszałem to porzekadło z ust matki, wyobrażałem to sobie tak, że petelniczki komuś musiały się postrzępić, guziczki odpadły i tylko jeden osierocony dynda na wyciągniętej niteczce. W wypadku naszym sytuacja była odwrócona. Petelki były — nowe, starannie wykończone, nienaruszone w swoim sztywnym rozcięciu, dziewczęcy oczekiwaniu — nie było guzików. Nie to żeby w miescie nie prosperowały sklepy z pasmanterią, a w nich zabrakło guzików. Sklepy były, a na ich ladach wyłożone były guziki lub wywieszone na tablicach, jak uśpione motyle w gablotach entomologa. Różne odmiany guzików o wszystkich możliwych kształtach, fakturach i zabarwieniach. Tyle że właśnie nie tego koloru, nie tego kształtu i nie tej wielkości, o które nam chodziło. Płaszcz wisiał w szafie bezużytecznie, z każdym dniem tracąc na aktualność podyktowanej modą. (Ta moda, planowana przez kogós z innego świata gdzie nie mała pojęcia o naszych potrzebach i idealach) My zaś bezskutecznie penetrowaliśmy sklepy z guzikami. Kiedy płaszcz wychodził z rąk krawca, sprawa dopasowania do niego guzików nie wydawała się czymś niemożliwym, w rodzaju lotu na inne galaktyki. Ale właśnie to idealne zsynchronizowanie w jednej nielicznej rodzinie guzików odpowiednich cech i walorów okazało się utopią nie mniej fantastyczną od literatury science fiction.

Wprawdzie poszukiwania nasze nie były systematyczne. Traciliśmy na nie pod rząd kilka dni, potem inne sprawy, pałace i nieodwołalne, pochłaniały całą naszą uwagę i siły. Tak, to były zrywy, niemniej od czasu do czasu stosowane wytrwały, do wyczerpania możliwości. I nawet teraz, we śnie, znajome nerwowe napięcie pobudzało moją wyobraźnię. Widziałem, jak wchodzę do największego sklepu pasmanteryjnego, podobnego do muzeum entomologicznego. Półka żona bada tablice guzikowych wzorów na nich rozpiętych, ja, na wypadek, że coś tam niespodziewanie się znajdzie lub tylko wyda się, że się znalazło i będzie wymagało sprawdzenia, ja na ten wypadek ustawiam się przy ladzie w kolejce, jak większość kolekcji uaoacniającej pojęcie nieskończoności. Panie stojące przede mną przebiegają w katalogach guzików, wywołując ich hasła a właściwie liczby, ponieważ wzory guzików znane są, jak gwiazdy na mapach nieba: każdy ma swoją liczbę popartą którąś z liter alfabetu. Z tego prosty wniosek, że gatunków guzików jest tyleż co gwiazd na niebie. I już widzę to niebo, usłane guzikami o różnych wielkościach, tęczę promieniującymi, układającymi się w konstelacje, połączona Droga Mleczną kolejką. I myślę o kolekcjonerach gwiazd i zbieraczach guzików.

Nie ma przedmiotów, od rzeczy niewygodnych rozmiarów do

najbliższych drobiazgów, których ludzie by nie zbierali. Kiedyś miałem okazję oglądać taką kolekcję guzików. Wyglądała podobnie do zbiorów numizmatycznych. Egzemplarze z różnych epok i różnego przeznaczenia rozmieszczone były w małych szufladkach specjalnej sekretary, napięte na kartonikach, poznaczone literami i liczbami katalogu. Posiadać ich pokazywał mi prawdziwie klejnoty. Począwszy od knęfików w gatunku szlachetnych kamieni, pereł, w postaci gemm, kamei, złotych grzechotek, okazów jubilerskiego i złotniczego kunsztu. W niżej położonych szufladkach przechowywały się pierwsze guziki spospolicone, wyrabiane w kształcie stalowych i porcelanowych krążków z wybitym na nich państwowym czy rodowym herbem albo monogramem właściciela. Sekretarza kryła w sobie również i takie osobliwości, jak guzik z historycznego redingotu Napoleona czy munduru Bismarcka. Albo coś jeszcze dla nas atrakcyjniejszego, na przykład, całkiem niepozorny guziczek z kamizelki Mickiewicza lub z rękawa Chopina.

Oglądając z podziwem tak zaskakujące bogactwo form guzików, starałem się sobie uświadomić, że cały ten grad guzikowy spadł na ziemię zaledwie jakieś dwieście lat temu, spowodowany modą na obcisłe kaftaniki. W okresach wcześniejszych raczej wiązano i spinano niż zapinano. Ale gdy podzieliłem się tym odkryciem z moim kolekcjonerem, odparł dotknięty w swoich ambicjach: Mylisz się pan, powiedział, pokażę panu coś na dowód, że guzik powstał, jak świat, już w pierwszym dniu stworzenia. Widać że nie przyglądał się pan należycie obrazom mistrzów klasycznego malarstwa, a mógłby pan z łatwością spostrzec na nich guzik spinający szaty Stwórcy. Nie mam pewności jak daleko sięga wiek o to tego guzika, ale nie ma wątpliwości, że rzemieślnik, który go ukształtował, musiał wzorować się na tamtym guziku Kreatora. Twierdząc tak, wysunął nie oznaczoną żadną literką szufladkę i wyjął z niej kryształowy dodekaedr, na którego ściankach były wyrzeźbione misternie znaki zodiaku. A to, wskazał demonstrując małe szklane czerwone guziczki, a to z sukni Anioła z lutnia. Wit Stwos, jak zostało udowodnione, nigdy nie nie zmyślał, wiernie portretując objawianą mu rzeczywistość.

Udałem, że jestem poruszony widokiem tych metafizycznych klejnotów, lecz większego podziwu domagała się niezliczona mnogość szarych, niepozornych odmiann guzików z urzędniczych mundurów, żołnierskich szyneli, cywilnych garniturów, robotniczych kombinizonów albo i jeszcze głębiej ukrytych guzików do szelek czy z getrów, męskich koszul i sekretnych kieszeni. Starożytnych, wyrwanych razem z kawałkami materiału, ze skruszonych młodziurkami, na nie już niezdatnych, usprawiedliwiających porzekadło: guzik czyli kompletne nie, zero.

I jakże też pojemne jest to dziwne słowo guzik! Wyraz o rdzennym znaczeniu kojarzącym się z bólem i obrazą. Zawiera również pojęcie pierwszego hazardu (obserwowałem nieraz na ulicy grę małych chłopców w guziki, ich rozpalone twarze, gorączkowe ruchy, błyszczące oczy). Ale też i pojęcie sumiennosci, odwołania się do zaufania (kiedy ktoś zapina na ostatni guzik ważną sprawę). Aż do znaczenia wywołującego dreszcze kaskadrycznej zapowiedzi, końca wszystkich końców (ten ostatni guzik, którego naciśnięcie uruchomi pokłady broni jądrowej mającej zgładzić świat). Tak od guzika Stwórcy po guzik Apokalipsy. Słowo — znak wszechobejmujące, kłębek wszechznaczeń.

Tu sen mój zrobił wielki skok o tydzień. Zobaczyłem guzik spinający dwa światy — jawy i snu. A może życia i nieśnienia. Nie był podobny do naszych guzików, monetopodobnych, spospoliconych na co dzień. Był podobny do białej kostki, którą spinają okładki starożytnych ksiąg, które w latach okupacji pokazywał mi w swoim domu na Odolańskiej sławny sinolog, profesor Witold Jabłoński. Na kostce było coś napisane, czego nie zdołałem albo i nie zdążyłem odczytać, nagłony przebudzeniem.

ORION

Napisałem przecież bez żadnej premedytacji i zastanawiam się, jak blisko sąsiadują ze sobą w naszej świadomości tak zdawałoby się sprzeczne w swej wymowie zjawiska. W migawkowym błysku skojarzenia nałożyły się na siebie guziki, co tak przyziemnego, głupiego i — gwiazdy czyli rozpostarte nad życiem niebo. Właśnie gdy mam go teraz dużo — zapelnia wielką tafię szklanej ściany, przesłania się przez nią i zalewa pokój niebieskawym planktonem, w którym pływają różnokolorowe okruszyny fosforujące materii gwiazdnej.

Ostatecznie skojarzenia nie przychodzą z powietrza. Mają zakorzenienie w nas i zakorzenione bardzo głęboko przyczyny. Całe dzieciństwo moje upływało pod niebem nie tyle tym, co okrywa szklanym kloszem ziemię, ile z atlasów astronomicznych, pokratkowane i poszerowane według wielkości gwiazd, powiększone przez moją matkę na granatowym perkaliku, który wisiał rozpięty na polowie ściany dziecięcego pokoju. Teraz, gdy z pamięci wyleciały nazwy poszczególnych gwiazd, poznaje jedynie kształty konstelacji, jak poznajemy dawnych znajomych z ich wyglądu. Tak widzę, nie podnosząc głowy z poduszki, wielki prostokąt Orion, ściągający w tali pasem poprzetykanym srebrnymi gwoździkami i znów przeżywam dramatyczny epizod walki tego mitycznego olbrzyma z dziką niebiańską zwierzyzną.

Walka ta zatrzymana w ruchu rozgrywa się nad skalnym źródłem Eridanosa, lodowatego potoku, który spływa z stoków nieba gnie w podziemnych grotach królestwa cieni. Orion stoi obrócony w lewo, skąd atakuje go rozjuszony byk. Widzimy to na starych, obrazkowych mapach nieba — coś z komiksu w dobrym malarsko guście. Oslania się tarczą z twardej skóry wzmoconej obiciem z gwiazd. Wznosi wysoko maczugę gotowy do walki. Nie wie co go grozi mu z tyłu, skąd wprost na niego skacze okazały jednorożec, którego opadły psy: jeden, wielki dopada spłoszone zwierzę od dołu, drugi mały wgrzyza się w jego grzbiet. Oślepiiony paniejącą ucieczką monoceros pędzi skokami o rozpiętości do czterdziestu stopni niebieskiego południka, przedzierając się przez mgliste skłębienia Mlecznej Drogi, długim świdropodobnym rogiem godzi w uzbrojoną w maczugę dłoń Orion. Obraz napięcia dynamicznego, zastygły w niezbadanych

przestworach, tak jak przekazały go naszemu wzrokowi miliardy lat świetlnych. Oglądałem go, zastępnym, jak zdjęcie migawkowe, na przestrzeni efemerydalnego życia człowieka, wiedząc — emocjonująca a zarazem mroząca wiedza — że jakoś to tam się musiało skończyć. Zwykłym człowiekiem lub katastrofą, której wynik kiedyś dosięgnie ziemi. I właśnie na samą myśl o tych, już nieodwołalnych następstwach wydarzeń, dokonujących się w kosmicznych przepaściach, czułem jak stygnie we mnie energia życia, którą nazywamy raz ruchem, raz świadomością. I nie ten Orion, wielkolud rozparty w niebieskich nieskończonościach, pod którego stopami, gdy chodził po ziemi, kruszyły się skały, a gdy wstępował do morza, wody zatapiały lądy. Nie, inny i to całkiem inny Orion urzekał moją dziecięcą wyobraźnię. I nawet nie ten wykonujący niebezpieczne i dla wszystkich innych niewykonalne zadania, zwalczając potwory i dzikie zwierzęta, aby w nagrodę uzyskać rękę pięknej Merope. Ograny baśniowy watek, który mit Orionu niespodziewanie wikła, gdy wiarołomny ojciec królewny nie dotrzymuje swego słowa, a Orion, w przypływie gniewu, Merope porwa, bierze pożądane siłą. W odwecie zostaje okrutnie ukarany: król każe swoim ślepacom wylapać Orionowi oczy i wyrzucić go za mury miasta. Właściwie do tego miejsca, baśń nie ma wielkiego sensu ani uroku. Nawet sam jej bohater, którego czuć krwią plenionych przez niego zwierząt, w swym niepoohamowaniu ślepej siły fizycznej niedaleko odbiegł od tępych przez siebie niedźwiedzi i dzików. Lecz w chwili, kiedy straciwszy wzrok leżał bezbronny, broczący krwią, rzucony na pastwę psów i kruków — zamienia się w symbol.

Trzeba pamiętać, że posiadał nie ludzką siłę i był żywoty jak płaz. Doczołgawszy się do źródła, zmywa z twarzy i rąk krew, gasi pragnienie wodą, zawierającą ekstrakt energii wszechświatu. Wstaje i idzie w stronę skąd dobiega szum morza. Natrafia na małą łódź rybacką porzuconą na brzegu, plynie w niej kierując się ku granicom świata, tam, gdzie wschodzi słońce. Wierzy, że pierwsze promienie dnia przywrócą mu wzrok. I teraz proszę to sobie tylko wyobrazić: ślepiec w małej łodzi, na rozhuśtanej powierzchni otwartego morza, z twarzą zwróconą pustymi oczodolami w stronę zaledwie zarysowanej między niebem a wodą smużki przedświt. Czy nie wielka przenośnia, godna jakiegoś Boecklina czy Maeterlincka!

Ale baśń nie mogła zatrzymać się na mglistej symbolice. Symbolika była tylko jej ubocznym działaniem, nie zamierzaniem. Orion chroniony w swej wędrówce przez żywioł wodny — nie zapomnijmy, że był synem Posejdon, bóstwa wszelkiej wilgoci, a przede wszystkim morskich otchłani — dobił kresu świata. A tam spozregła go i w nim zakochała, gillageszopodobnym wielką i przezroczystą w osiłowatym, gillageszopodobnym wielko-ludzie. Był jej pierwszym kochankiem. Pokrzepła go różowym nektarem świtu i bitą pianką rannych obłoków, omyła nocną rosą, namaściła olejkami budzących się na łąkach aromatów. I gdy brat jej, Helios, wyszedł ze swego namiotu wypząc konie do złotego rydwanu, uprosiła go, aby dotknął palcami oczodolów Orion. Była to pierwsza pomyślnie przeprowadzona operacja okulistyczna. Orion przejrzał. Aby zobaczyć piękno zakochanej w nim bogini i spozrzeć, że siedzi na kruchym brzegu ziemi, nad czarną przepaścią kosmosu.

Ostatecznie na tej happyendowej poincie można skończyć, dając dalsze wersje tragicznego losu Orion. Nie dłużyć straszczona badając najstarszego z mitologicznych apokryfów. Bo — znów ta mitologia! Ale czy to naprawdę moja winna, że gdzie nie poskrobać, pod warstwą rzeczywistości występują te antyczne malowidła?

DO TEMATU SYMPOZJUM POD WIELKĄ SOWĄ

Sprawozdanie moje byłoby jednak niepełne bez streszczenia pewnej rozmowy. Po powrocie z historycznej dyskusji w przyzakładowej świetlicy, zszedłem do hotelowej kawiarenki napić się herbaty i natknąłem się na Piotrowskiego (strach pomyśleć, że i on już przeniósł się w poczet cieni mojej pamięci). Zrobiliśmy ze sto kroków w bielawski zasepiiony wleczo. Zaczęło kropli i Piotrowski podniósł kołnierz płaszcza. I właśnie wymiana myśli podnieconych niedawnym treningiem publicznego dyskursu. Ze: co właściwie powoduje ten rozróż w sztuce między podażą i odbiorem jej wartości, przez to poważnie zagrożonych?

Nagromadzono i nacłaniano tych wartości za wszystkie poprzednie czasy co niemiara, przywalono nimi naszą pamięć, obciążono nasze (u)twory. Wiedza nas obowiązująca stworzyła ze sztuki zamkniętą w sobie specjalność, która dla niewtajemniczonych ogółu jest czystą magią, jeśli nie abrakadabą. Tradycja, tradycja! Właśnie. Może nawet — eureka! — bardziej niż eksperymnt. Bo obowiązuje ta tradycja tak naprawdę tylko jedną stroną, która mówi językiem mało zrozumiałym dla strony drugiej. A bez porozumienia nierozumiejących się stron nie ma sztuki, ponieważ jest ona zjawiskiem społecznym. I na tym polega jej pogłębiające się schorzenie. Zrozumieć jednak jego objawy to nie to samo, co uleczyć. Smutno? Ale nie mogę w celach terapeutycznych wyrzec się tysiącletniej wiedzy o sztuce, bo tym samym wyrzeknę się sztuki w ogóle.

Taki był w skrócie zarys naszych odkrywczych konkluzji. Czy doprowadzonych do końca? Lecz doszliśmy do oświetlonego kiosku „Ruchu” i kupiłem małą baterię do kieszonkowej latarki. Nigdzie nie mogłem ostatnio dostać, a tu była wystawiona obok pasty do zębów i oliwanego żołnierzyka.

(Fragmenty nowej powieści)

PIOTR DMOCHOWSKI



byśmy nie za wcześnie z kuframi ruszili
ale mój syn kupuje mi przyszłą walutę
uprawniony
do strachu przed iperytem
radości z tanga Jalousie

o roku ów
kto cię widział oczami
synka w cesarskiej koronie
gdy nagi krzyknął Eureka
naprawił spaloną świeczkę

tymczasem starannie przechowuje
świadełwa moich herezji
w secesyjnych ramach

syneczek przediera się przez kapustę
i szuka

WOJCIECH WIŚNIEWSKI

SIÓDMA GÓRA

wierzmy w ciało jabłoni
co się przegna przez horyzont
jak stara kobieta

wbijamy gwoździe w powietrze
żeby unieruchomić wiatry
wierzmy

tych kilka niewiadomych chwil
przed nami sprawla

że odnajdujemy nasze twarze
na plakatach pół
i we wnętrzu każdego zerwanego
jabłka

KONRAD BROSCZYK

KIERSZTANOWO

Przypnijcie w dolinie
na odległość rzutu pragnienia

Jedna chata
stoi nad źródłem
otoczona nawalem powalonej pracy

Podniosłem więc czerwień cegły
i zapamiętałem
oczyszczałem ją z zimy beczynności
aż zdziwiło się echo w pobliskim lesie
i pracowało razem ze mną
jeszcze długo po zachodzie słońca

I tak we dwójkę
zbudowaliśmy letni wiecór wiejski
pełen gwiazd
i zapachu siana

MŁODZIEŻ A NIEPODLEGŁOŚĆ

5

PASJA EDWARDA DEMBOWSKIEGO

W historii naszego narodu nie brak kart szczególnie gęsto zapisanych działalnością licznych ugrupowań politycznych, rozbieżnościami ich programów, celów perspektywicznych i do-
raźnych, poglądów i przekonań przywódców określonych sił społecznych. Do takich należy niewątpliwie rok 1846 na ziemiach polskich, a zwłaszcza w Galicji. Po wydarzeniu tego czasu sięgnął w swym ostatnim filmie Stanisław Różewicz. *)

Stanowiący przed wyjątkową obfitością materiału historycznego, był twórcą zmuszony do arcywnikliwego sposobu jego selekcji, „montażu” i oceny. Z tego niełatwego zadania wywiązał się znakomicie, jest bowiem „Pasja” filmem oddającym wiernie nie tylko najważniejsze fakty historyczne, lecz także stan świadomości różnych klas i warstw społecznych Polski tamtego okresu, widzę szansę historycznej, narodu, dramatycznej i powiklane losy przywódców ugrupowań politycznych, a nade wszystko obraz ciałe żywej, gorącej i niepokonanej — wbrew okrutnemu tłumieniu przez wrogów, woli walki Polaków o niepodległość i postęp społeczny.

Kłeska powstania listopadowego udowodniła ponad wszelką wątpliwość, iż warunkiem powodzenia przyszłego zrywu niepodległościowego Polaków jest rozwiązanie sytuacji społecznej chłopów, wolnych od pańszczyzny tylko w zaborze pruskim. Jednym z najważniejszych ogniw działalności spiskowej stawała się więc praca polityczna wśród chłopów. Była ona trudna. Chłopi bowiem, doświadczeni na co dzień przemagów i przemocy dziedzica, rzadcy, ekonom — odnosili się nieufnie do programów i hasel głoszonych przez działaczy rewolucyjnych szlacheckiego pochodzenia. Nadzieje na poprawę swego losu wiali raczej z dobrocią i łaską cesarza, niż z walką zbrojną organizowaną przez szlachtę. Czy Edward Dembowski mógł w tej sytuacji liczyć na pozyskanie zaufania chłopów i przyłączenia ich do udziału w powstaniu społeczno-narodowym?

Urodzony w 1822 roku w rodzinie arystokratycznej (ojciec jego był senatorem-kasztelanem Królestwa Kongresowego) był on osobowością niepospolicie bogatą. Cechowała go niezwykła rozległość zainteresowań i radykalizm poglądów społeczno-politycznych. Zajmował się filozofią i

historią literatury (najważniejszą pracę: „Kilka myśli o ekiektyzmie”, „Piśmiennictwo polskie w zarysie”, „Myśli o przyszłości filozofii”), uprawiał publicystykę. Dokonywał niezmiennie trudnych wyborów w życiu prywatnym i w walce. Z domem rodzinnym zerwał więc po to, by poświęcić wszystkie siły, talent, wiedzę i życie walce o ideę sprawiedliwości społecznej i niepodległości. Wielką przyjaźnią darzył natomiast brata swego matki — Henryka Kaniewskiego — przygotowywającego rewolucję agrarną w Poznaniu. Jako dwudziestoletni młodzieniec wywierał Dembowski znaczący wpływ na umysł ówczesnych Polaków, poddając w wydawanym przez siebie w Warszawie „Przeglądzie Naukowym” ostrej krytyce pańszczyźniany wyzysk chłopów, przesądą stanowiąc i wstępnictwo między szlachtą. W bezpośredniej działalności spiskowej ożywił i radykalizował liczne kręgi uczącej się i studiującej młodzieży Warszawy, Fala carskich aresztowań zmusiła go do ucieczki w Poznańskie, gdzie włączył się natychmiast w radykalny nurt publicystyki. Widząc zachowawczy charakter działań emigracyjnych, paryskiej Centralizacji, sterującej przygotowaniami do powstania w kraju, dokładał wszelkich starań o to, by uwolnić ruch spiskowy spod tych konserwatywnych wpływów. Nawiązał współpracę z radykalnym Związkiem Piełejuszy w Poznaniu. Liczył na Związek Chłopski Piotra Sciegiennego w Kieleckim. Planował powstanie społeczno-narodowe w trzech zaborach na rok 1844. Ale aresztowanie Sciegiennego skomplikowało wielce sytuację. Ścigany przez władze pruskie, udał się Dembowski do Galicji, gdzie coraz wyraźniej zaznaczały się rozbieżności między konserwatywnym a demokratycznym ugrupowaniem ruchu powstańczego. A nade wszystko narastało wrzenie wśród chłopów, kumulując się od dziesięcioleci, spo-

tęgowane latami nieurodzaju i głodu w okresie 1844—1845.

Ia sytuacja dopingowała konserwatywny odłam spiskowców do przyspieszenia powstania i nadania mu przede wszystkim charakteru narodowo-wyzwoleńczego, podczas gdy Dembowski widział je jako rewolucję społeczną walczącą o niepodległość Polski. W takiej to trudnej sytuacji historycznej otwiera Stanisław Różewicz zasadniczą akcję swego filmu, wprowadzając w nią Dembowskiego. Widzimy go we Lwowie, gdy w rozmowie z Franciszkiem Smolką dowodzi możliwości zwycięstwa powstania dzięki jego radykalnemu programowi społecznemu. Na tym etapie przygotowań wiara Dembowskiego w zwycięstwo wydaje się pełna i uprawniona — jak sugeruje film. Jednakże donos hr. Ponńskiego złożony u władz pruskich powoduje liczne aresztowania spiskowców. W krótkich i celnych scenach zapoznaje nas Różewicz z fatalnymi skutkami tych działań: oto następuje odwołanie powstania przez jego wodza — Tyssowskiego, wzmożenie czujności Austriaków oraz ich perfidne podburzanie chłopów przeciwko szlachcie, za której pokonanie chłopci mieli rzekomo zostać uwłaszczonymi przez cesarza. W tej dramatycznej sytuacji Dembowski wydaje się już wiedzieć, iż powstanie 1846 roku będzie jeszcze jedną tragedią narodu, ale tragedią historycznie nieuchronną i niezbędną dlatego, by ów naród pojechał się w przyszłość walce wyzwoleńczej. Z niebawym wysiłkiem, energią i omalże brawurą zabiega Dembowski o skonsolidowanie sił powstańczych. Dążąc do opanowania żywiołowego wiru wydarzeń, głosi wśród chłopów radykalny program społeczny (uwłaszczenie, nadanie ziemi bezrolnym, praca w warsztatach państwowych dla robotników, bezpłatne rozdawanie soli itd.). Chłopi pozostają nadal nieufni, wydając pojmanych rewolucjonistów szlacheckich wojskom austriackim.

Sam Dembowski, uwolniony dzięki szczęśliwemu przypadkowi, zostaje doprowadzony przez chłopów do ich wypróbowanego przywódcy — Jakuba Szeli. Całkowicie fikcyjna scena spotkania obu wodzów pozwala zrozumieć niemożność ich wspólnego działania. Szela obwinia szlachtę za nikły stan świadomości chłopów, zaś Dembowski daremnie próbuje odwoływać się do wartości ponadklasowych, do wspólnoty języka, uczuć patriotycznych, polskości. Owa świadomość polityczna chłopów budzi się, narasta, lecz wtedy ustępuje jej silniejsza siła nagona na szlachtę, Różewicz oszczędnie i zżarem przekonywająco odsłania głęboki tragizm przywódców, a wraz z tym tragizm narodu.

Na kanwie kolejnych wydarzeń historycznych wyraziście rysuje się sylwetka Dembowskiego — rewolucjonisty, którego głównym celem jest ocalenie powstania, utrzymanie przy nim chłopów, górników, plebsu. W rozmowie z niezdecydowanym Tyssowskim — najpierw naczelnikiem Rządu Tymczasowego, potem dyktatorem powstania i z towarzyszymi walki, daje Dembowski wyraz przekonaniu o słuszności kontynuowania walki. Udowadnia jej historyczną konieczność, nawet za cenę ofiar w ludziach. Wierzy, że idea rewolucji musi zwyciężyć, choć nastąpi to może nieprędko. Owa zdolność do dystansowania dziejących się wydarzeń, uogólnianie ich sensu, widzenie ich jako ognia historycznego procesu rewolucji, troska o ocenę walczących Polaków przez ludy Europy wreszcie, budzi najwyższy podziw i szacunek dla młodego twórcy rewolucji 1846 roku. Wszedłszy do Rządu Tymczasowego po to, by radykalizować jego działania, zakłada Dembowski klub

rewolucyjny, potem partię. W rok później ten ruch zyska wysoką ocenę, dokonaną przez Marksa i Engelsa w „Manifestie Komunistycznym”, potem w wielu innych tekstach.

Widząc rozproszenie i zagubienie powstańców krakowskich, spowodowane lekkim przed rzekomo nadciągającym do Krakowa Szelą i niezależnie od tego — Austriakami, dokonuje Dembowski mądrego politycznie i trudnego etycznie wyboru. Odwołuje się mianowicie do tak istotnego elementu wspólnoty kulturowej, jaką jest religia. Stanowiący na czele procesji złożonej z ludzi różnych środowisk społecznych wiezie ich „pod osłoną” chorągwi i pieśni kościelnych, sam będąc ateistą, na spotkanie z Szelą, by raz jeszcze podjąć próbę pojednania i połączenia sił. Miał Szele spotyka oddział Austriaków, od którego kul glinie jako jeden z pierwszych.

Film nie obciąża Dembowskiego winą za — jak można domniemywać — przewidywane przezeń wprowadzenie procesji na los bardzo niepewny. Przeciwnie. Odsłania przed widzem głęboką uczciwość, konsekwencję, poświęcenie i heroizm bohatera, który ginąc, miał zaledwie dwadzieścia cztery lata.

Skupiając całą uwagę na Dembowskim, wtopionym w wartko tocząca się historię 1846 roku, twórcą nie zdołał już, lub nie zamierzał od początku, ukazać go także na szerszym kulturowym i filozoficznym tle epoki romantyzmu. Zubożyło to autorytety, zawęziło obraz niezwykle barwnej postaci bohatera filmu. Owa koncentracja reżysera na działalności politycznej Dembowskiego przekonywająco natomiast wydobyla te jego walory i posunięta, które doprowadza do podważenia całego życia idei, dowodzą zracjonalizowania rewolucjonisty, jego dojrzałości politycznej i konsekwencji ideologicznej. Nie sposób więc zrozumieć, dlaczego niektórzy krytycy dopatrzili się w „Pasji” Różewicza „oskarżenia” Dembowskiego o bycie winnym tragicznego powstania krakowskiego, wykreowania go na rozgoryczkowanego romantyka, skrywyającego jednakże „wewnętrzna żarliwość i udrękę”. **) Czyż nie dowodem tej żarliwości dramatycznej z wyboru losy rewolucjonisty? Czyż nie jest dowodem udręki pokazane w filmie skłócenie i zerwanie z domem rodziców, a potem dramatyczna rezygnacja z własnego życia rodzinnego? Oto fragment listu Dembowskiego do żony, przybliżony nam przez Różewicza: „Powiedz naszemu synowi, że oddałem życie za miłość większą niż ta, którą miałem dla Was”.

Edward Dembowski niewątpliwie pozostawał pod wpływem hasel i literatury romantyzmu, lecz czytał także prace Marksa i Engelsa. Dochodził oni wówczas do sformułowania poglądu, iż jednostka wybitna może odegrać znaczącą rolę w historii tylko wtedy, gdy swój talent, wiedzę, umiejętności, wszystkie siły i pasję zespoli z dążeniami mas wyrastającymi na określonym podłożu ekonomiczno-społecznym. Gdy wtopi się niejako w proces historyczny, nadając mu dzięki swym talentom, swą perspektywiczną wizję przyszłości i mądrości politycznej bardziej określonego, zdecydowanego charakteru, aż po odcienienie na nim własnego piętna.

Edward Dembowski był bez wątpienia taką indywidualnością. Film Różewicza pokazuje to w sposób subtelny, ale dostatecznie przekonujący. Odsłania źródła autorytetu młodego rewolucjonisty, jego popularność, bezgranicznie doń przywiązanie ze strony współtowarzyszy walki, także ze strony chłopów i robotników, którzy zetknęli się z nim bezpośrednio, bądź pozostawali w bliskim

zasięgu jego oddziaływania. Pokazuje siłę legendy Dembowskiego (pierwsza scena filmu) wśród chłopów.

Edward Dembowski, podnoszący lud do rangi narodu, był w swych poglądach bliższy raczej romantyzmowi — pisarzem krajowym, który z wielką uwagą śledził i analizował położenie, świadomość i mentalność chłopów oraz rodzącej się klasy robotniczej. Równocześnie jego radykalne przekonania i poglądy były bądź zbliżone, bądź wysoko oceniane przez naszych największych twórców pozostających wówczas na emigracji: Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Ujejskiego. Kim więc był Edward Dembowski — romantykiem czy racjonalistą?

Myślę, że jednym i drugim, był romantykiem zracjonalizowanym. Jego pasja, słusznie uczyniona tytułem filmu, jego cechy osobiste, pełna jedność słów, programów i czynów, jego młodzieńczość czynią z niego jednego z najpiękniejszych i najsłabszych bohaterów naszego narodu, spełniających wszelkie warunki postaci bliskiej, zwłaszcza współczesnej młodzieży, tak bardzo wyczułonej na moralne aspekty życia i działalności publicznej.

I ostatnia sprawa. Co wynika z „Pasji” Różewicza na dzień dzisiejszy? Przede wszystkim to, iż ponad różnicami społecznymi, materialnymi, światopoglądowymi wewnątrz narodu istnieją zawsze pewne sprawy i wartości wspólne, ogólnonarodowe, polskie, nadrzędne. W określonej sytuacji historycznej, w tzw. potrzebie, winny one stanowić mocne spoiwo narodu, być budulcem jego wiary i siły, podstawą trwania, gwarantem niepodległości i dalszego pomyślnego rozwoju. Dostrzeganie i rozumienie wagi tych wartości jest problemem świadomości narodowej i politycznej jednostki i zbiorowości społecznej. Inne przesłanki ideowe „Pasji” to wydobycie ponadczasowego, a więc aktualnego i dzisiaj, charakteru prawdy o tym, że w walce o postęp, w procesie rewolucji, siły i jednostki kierujące narodem winny głęboko, nierozważnie, w sferze praktyki zespolić swe dążenie i siłę z dążeniami, interesami i siłą zasadniczej klasy społecznej i jej naturalnymi sojusznikami.

Ważne jest przy tym, by uwzględnić stopień rozwoju świadomości tej klasy i jej poszczególnych grup nie dlatego, by się doń dostosować, lecz by poznać jej istotę, uwarunkowania, mechanizmy i niedostatki — znaleźć właściwe środki i formy do wniesienia w jej myślenie spójnej i klarownej ideologii postępu, uwzględniającej racje klasowe i ogólnonarodowe, dobro społeczeństwa i dobro jednostki.

I jeszcze jedno. Film Różewicza wykazuje olbrzymią rolę i potrzebę ciągłego doskonalenia pracy ideologicznej, propagandowej, kulturalnej. Pracy, której treści, środki i formy masy społeczne konfrontują z rzeczywistością i potrzebami codziennego życia, mierzą miarą swej świadomości i swych interesów dzisiejszych i perspektywicznych. Sądzę, że już z wydobycia powyższych znaczeń „Pasji”, wraz z akcentowanym już głębokim i odpowiedzialnym portretem jej fascynującego bohatera, wynika niezbicie, iż jest to film ważny, potrzebny i bardzo współczesny.

*) „Pasja”, reżyseria: Stanisław Różewicz, 1977 r. Grand Prix na Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdańsku — wrzesień 1978 r.

**) M. Janion i M. Żmigrodzka, Dokument i symbol „dni przedostatnich”, „Kino”, 1978/6.

„PŁOMIENIE”

Film „Płomienie” Ryszarda Czekaja prezentowano w trakcie II przeglądu dorobku łódzkiego zespołu filmowego „Profil”, który odbył się w minionym tygodniu. Film ten jest kolejną realizacją głównego hasła programowego Zespołu, jakim jest podejmowanie w pierwszym rzędzie problematyki współczesnej. Filmu „Płomienie” oczekiwano z dużym zainteresowaniem, które zawsze wywotywała twórczość tego reżysera. Osiągnięcia artystyczne Ryszarda Czekaja w zakresie filmu animowanego budziły uznanie, dla którego znakiem widocznym były liczne nagrody festiwalowe. Debiut fabularny — film „Zofia”, potwierdził indywidualność Ryszarda Czekaja. Okazało się, że z równym powodzeniem, co tworzywo plastyczne, potrafi kształtować materię filmu fabularnego.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że

„Płomienie” są rozwiniętą wersją fabularną pierwszego głośnego utworu tego reżysera — animowanego filmu pt. „Syn”. W niezwyklej technice plastyczno-filmowej i zdumiewająco wyrazistej realizacji, w filmie tym przedstawił wówczas Ryszard Czekaja pewne niezwykle aktualne w naszej rzeczywistości procesy społeczne i psychologiczne. U ich podłoża leżą przeobrażenia wsi polskiej, wynikające z faktu odchodzenia do innych rejonów życia społecznego wielu jej przedstawicieli. Często awans cywilizacyjny staje się przyczyną sukcesów jednych i dramatów drugich. Synowie odchodzą, dają ojcom poczęcie dumy, ale i bezgranicznego smutku. Pozostawiają bowiem po sobie puste miejsca, tracą też swój związek z tymi, spośród których wyszli.

W „Płomieniach” Ryszard Czekaja powraca do tego tematu, lecz do

przedstawionych w „Synu” konstatacji dodaje wątki inne, owo puste miejsce chce na nowo wypełnić i znajduje rozwiązanie optymistyczne. Ci, którzy odeszli, to bohaterowie z jego poprzedniego filmu. Pojawia się jednak w „Płomieniach” bohater nowy, ten, który pozostał. Paradoksalnie, owo pozostanie, dokonane z wyboru i z pasji, skazało go na głęboki konflikt z ojcem, konflikt, który pr-biega na linii „stare i nowe”. Jest on zaledwie zarysowany, gdyż jego rozwiązanie, poprzez nagłą śmierć ojca, następuje już na początku filmu. Był on jednak twórcy potrzebny do dyskusji o potrzebie dynamicznego traktowania problemów dziedzictwa i tradycji oraz silniejszego podkreślenia przepaści, jaka tworzy się między tymi, którzy odeszli, a tymi, którzy zostali. Film jest także dyskusją o wartościach, które się zyskuje i które się traci, zrywając związek z miejscem, z którego się wyszło. Czekaja bardziej akcentuje tu sumę strat, a widzi ją głównie w rejonach wartości moralnych.

Dopatrzyć się rodowodu „Płomieni” w filmie „Syn”, trzeba też podkreślić, co brzmi pozornie nieco zaskakująco, pewną jedność formy obu utworów. Czekala nie jest potrzebna

bogata anegdota fabularna. Posługując się skrótem narracyjnym, zastępuje ją skondensowanymi sytuacjami archetypicznymi — msza, pogrzeb, stypa i wyposaża je dodatkowo w obrazowe znaki symboliczne. Ten rodzaj artystycznej kreacji stanowi siłę i wartość filmu „Płomienie” i jest kolejnym ujawnieniem ciekawego talentu Ryszarda Czekaja. Nie wiem zatem, co za diabeł podkusił reżysera, by spróbować połączyć w jedno ogień i wodę, czyli wysublimowaną kreacyjność z dziennikarską, dodając do niej plaską, publicystyczną. Jest Ryszard Czekala w tym filmie scenarzystą, autorem dialogów i reżyserem — nikt więc tym razem nie może części winy przerzucić na scenariusz. To, co się stało, stało się z woli autora. Urodę dzieła zepsuł sam, jakby nie dowierając, że bez słownych deklaracji głównego bohatera, dotyczących w głównej mierze jego gospodarskich planów, m. in. w zakresie hodowli tuczników, widzi i tak zrozumie, jakich wartości nosicielem jest Jan. Dialogi są w ogóle najłabszą stroną „Płomieni”, kontrast walorów obrazu i słowa jest w nich szokujący.

Trudno mi też wytłumaczyć liczne nieporozumienia aktorskie tego fil-

mu, przyczyną był może brak doświadczenia reżysera fabularzysty, a być może Czekala programowo zdecydował, dla siebie tylko wiadomych celów, tak różne osobowości i koncepcje aktorskie. Zasiłując Czekaja w tym zakresie pozostanie jednak ponowne odkrycie wielkiego talentu niezapomnianej Felicji z filmu „Jak być kochaną”, czyli Barbary Kraftówny, aktorki, której polskie kino nie potrafi wykorzystać.

W ciągu ostatniego roku w zespole „Profil” powstały dwa filmy stojące na antypodach stylu, za którym kryje się intencja autora. Bogdan Poręba zrobił film pt. „Gdzie woda czysta i trawa zielona”, nie ukrywając, że robi publicystykę. Grzegorz Królikiewicz zrealizował „Tańczącego jastrzębia”, film, o wysokim stopniu artystycznej kreacyjności, która nieczym nie zaszkodziła jego nośności problemowej. Ryszard Czekala, próbując połączyć te dwie metody, obniżył wartość swego dzieła. A szkoda.

EWA NURCZYŃSKA

YŇSKA

7

U PRZYJACIOŁ

W związku z rocznicą uchwalenia nowej konstytucji ZSRR w prasie radzieckiej ukazało się wiele artykułów o charakterze obywatelskim. „Sowietskaja Kultura” w numerze 77 poświęciła obszerny artykuł pt. „Konstytucja a rozwój kultury radzieckiej” autorstwa I. i G. Kuczmajewów — z którego przytaczamy niektóre informacje charakterystyczne dla rozwoju poszczególnych dziedzin kultury.

W bibliotekach naszego kraju — pisała autorka — skoncentrowane jest obecnie bogactwo — ponad 4 mld książek i czasopism. ZSRR ma niewiele bogate zbiory muzealne liczące ponad 40 mln pozycji. Kraj nasz ma 150 tys. zabytków kultury i sztuki monumentalnej.

Wymownym przejawem troski państwa radzieckiego o rozwój kultury jest umocnienie jej bazy materialnej. Obecnie w ZSRR działa 571 teatrów, 96 cyrków, 214 instytucji koncertowych, 50 wyższych uczelni artystycznych, 5 tys. dziecięcych szkół muzycznych i plastycznych, a także ponad 135 tys. klubów i pałaców kultury i tysiące innych placówek kulturalno-oświatowych.

Nakreślony został i jest na ogół pomysłowo realizowany szeroki program umocnienia materialnej bazy kultury. Stale rosną wydatki państwa na działalność kulturalną. Np. w 1978 były one większe o 1,3 mld rubli w porównaniu do roku poprzedniego i wyrażały się ogromną kwotą — 36,1 miliarda rubli. Wyraża ona troskę państwa o stały wzrost szeregu pracowników ruchu kulturalnego. Np. w ostatnich latach ukończyło wyższe uczelnie artystyczne 33,5 tys. absolwentów.

Przy Państwowej Bibliotece ZSRR im. W. Lenina powstała Wszechzwiązkowe Muzeum Książki. Zlokalizowane zostało ono w starej siedzibie biblioteki i obejmuje kilkanaście sal o powierzchni ok. 1,2 tys. m kw. Czołowe miejsce w Muzeum Książki zajmie ekspozycja „Lenin jako czytelnik”. Ukazuje ona krag zainteresowań intelektualnych twórcy państwa radzieckiego, jego miłość do książki, znaczenie jakie przywiązywał do roli bibliotek w socjalistycznym społeczeństwie.

W dziale książki radzieckiej pokazane zostaną m. in. elementarne dla dorosłych drukowane w młodym państwie radzieckim natychmiast po zakończeniu Rewolucji, pierwsze książki w językach narodów ZSRR nie mających wcześniej swego piśmiennictwa. Muzeum zaznajamiać będzie szczególnie z historią książki. Można tu będzie zobaczyć pierwsze druki rosyjskie powstałe w typografii Iwana Fiodorowa, rzadkie i bezcenne wydania, a wśród nich pierwodruki dzieł Puszkina. Osobną ekspozycję staną się unikalne sztuczne, rycin, łuki i pocztówki pochodzące ze zbiorów biblioteki. Również interesującą zapowiadają się dzieła poświęcone historii drukarstwa i papieru. Ekspozycja obejmie również wiele oryginalnych wydawnictw m. in. książki-miniaturowe, często wielkości monet, książki wykonane w metalu, drewnie, jedwabiu. Osobne miejsce poświęcone zostanie wybitnym wydawcom i wydawnictwom rosyjskim i radzieckim.

Wielki festiwal teatru i muzyki XXII „Berliner Festtage”, towarzyszący obchodom rocznicy powstania NRD, imponował w tym roku swym rozmachem i różnorodnością prezentowanych imprez. W ciągu 17 dni odbyło się 295 spektakli i koncertów z udziałem zespołów i solistów z 29 krajów. Znalazły się wśród nich premiery przygotowane przez 8 berlińskich teatrów, z których największe zainteresowanie wzbudziły przygotowywane przez radzieckich artystów „Księża Igor” Borodina i nowa inscenizacja „Maski Courage” Brechta z Giełzą May w roli tytułowej.

Z okazji odbywających się w tym samym czasie w NRD „Dni sztuki teatralnej krajów socjalistycznych” gościło w Berlinie i w całym kraju wiele znanych teatrów. W m. Teatr Muzyczny z Gdyni, który pokazał musical „Szwejk” wg. Haszka, z partiami wykonywanymi w języku niemieckim. Dużym powodzeniem cieszyła się również — eksponowana najpierw w Berlinie, a następnie w innych miastach — przygotowana przez Adama Killana wystawa pn. „Polska scenografia dzisiaj”, obejmująca ponad 200 prac projektowanych przez 18 znanych czołowych artystów.

Owocynie przyjęto zespoły i solistów z ZSRR m. in. Teatr Obrazowa, Chór Świeżnikowa, kwartet im. Borodina. Przyjechało także wiele wybitnych zespołów i solistów z Czechosłowacji. Do wydarzeń zaliczone występy słynnego Theatre National Populaire z Lyonu i jugosłowiańskiego Teatru Narodowego z Belgradu. Innym rocznicowym akcentem festiwalu były imprezy poświęcone twórczości Franciszka Schuberta, w związku ze 150 rocznicą śmierci wielkiego kompozytora. W imprezach tych uczestniczyła m. in. Wiedeńska Orkiestra Kameralna.

W październiku 1928 roku powstał w Berlinie Proletariacko-Rewolucyjny Związek Pisarzy. Związek istniał zaledwie 7 lat, z czego tylko 4 lata legalnie. W pierwszej odpowiedzi grupowani w Związku postępowi pisarze stwierdzali, że nie chcą być rozproszeni i izolowani, że pragną „rozwinąć zarodek proletariacko-rewolucyjnej literatury, stworzyć jej widoczną pozycję w literaturze robotniczej i wykupać w niej „broń proletariatu”. Zadania te zostały zrealizowane i to w trudnych warunkach działalności podziemnej i na wygnaniu. Awangarda pisarzy tamtych lat stworzyła również pierwsze perspektywiczne ramy literatury dzisiejszej NRD.

60 rocznica utworzenia Związku ma dla życia literackiego wyjątkowe znaczenie. Organizowane są liczne sympozja naukowe i spotkania, wykazujące trwałe związki między ówczesnymi zamierzeniami pisarzy, a dzisiejszą socjalistyczną rzeczywistością.

Stany Zjednoczone, wykorzystując siły zbrojne i bazy wojskowe Paktu Północnoatlantyckiego uzurpowały sobie prawo do ingerowania w wewnętrzne sprawy innych krajów, w tej liczbie również w sprawy swoich partnerów z NATO. USA, rozszerzając nadzorcze funkcje NATO w obecnym okresie dramatycznego zaostrzenia się sprzeczności w łonie świata kapitalistycznego, próbują stłumić walkę mas pracujących o ich prawa i popierają prawicowe dyktatury.

Polityka ta, prowadzona pod hasłem „sowieckiego zagrożenia” jest sprzeczna z duchem czasu i ideą odprężenia, jest nastawiona na podważenie Aktu Końcowego Konferencji w Helsinkach, pod którym widnieją także podpisy przedstawicieli Stanów Zjednoczonych oraz innych członkowskich krajów NATO. Od momentu stworzenia NATO jego liderzy twierdzili, iż działalność Paktu ogranicza się wyłącznie do Zachodniej Europy. Wówczas to faszystowski Portugalii dostarczano broń, żeby mogła prowadzić wojnę kolonialną w Anglii i Mozambiku. W latach 50-tych NATO popierał aktywnie „brudną wojnę” Francji, prowadzoną przeciwko narodowi algierskiemu, walczącemu o niepodległość.

Niedawna interwencja w Zairze nie pozostawia żadnych wątpliwości co do tego, że NATO wzięło kurs na jawne mieszanie się w wewnętrzne sprawy kontynentu afrykańskiego. „Operacja Zair” — można to dziś powiedzieć z całą pewnością — była szczegółowo opracowana w NATO-wskich sztabach. Uczestnikom interwencji zawczasu przydzielono role: Francji i Belgii dają żołnierzy, Stany Zjednoczone organizują ich przerzut, inne kraje NATO występują w roli politycznych adwokatów, osłaniając tyły operacji propagandową gadanią.

Polityczne i wojskowe kierownictwo Paktu spoczywa w rękach USA, wszak gen. Haig, głównodowodzący zjednoczonymi siłami zbrojnymi Paktu Północnoatlantyckiego w Europie, jest Amerykaninem. Belgijski minister spraw zagranicznych potwierdził rolę USA w „Operacji Zair”, kiedy po rozpoczęciu interwencji w tym kraju politycznych adwokatów, osłaniając tyły operacji propagandową gadanią. Polityczne i wojskowe kierownictwo Paktu spoczywa w rękach USA, wszak gen. Haig, głównodowodzący zjednoczonymi siłami zbrojnymi Paktu Północnoatlantyckiego w Europie, jest Amerykaninem. Belgijski minister spraw zagranicznych potwierdził rolę USA w „Operacji Zair”, kiedy po rozpoczęciu interwencji w tym kraju politycznych adwokatów, osłaniając tyły operacji propagandową gadanią. Polityczne i wojskowe kierownictwo Paktu spoczywa w rękach USA, wszak gen. Haig, głównodowodzący zjednoczonymi siłami zbrojnymi Paktu Północnoatlantyckiego w Europie, jest Amerykaninem. Belgijski minister spraw zagranicznych potwierdził rolę USA w „Operacji Zair”, kiedy po rozpoczęciu interwencji w tym kraju politycznych adwokatów, osłaniając tyły operacji propagandową gadanią.

za uwagę strategów NATO z racji swego geograficznego położenia. Pakt uważa go za idealną bazę wypadów przeciwko sąsiadującym z Zairem niepodległym krajom oraz jako pozycję wyjściową do prowadzenia tajnych wojen przeciwko siłom ruchów narodowowyzwoleńczych. Jak widać, wydarzenia w Zairze, choć dość odległe w czasie, ujawniły problem, który w kontekście planów NATO jest nadal bardzo aktualny z punktu widzenia interesów ludności całej Afryki.

Na późniejszej konferencji „góry” NATO w Waszyngtonie, jej uczestnicy dali do zrozumienia, że będą się trzymać tego agresywnego kursu. Spotkanie w stolicy USA pokazało także, iż NATO będzie jeszcze bardziej aktywnie niż dotąd występować

mokratycznych i związków zawodowych, ponad 10 tys. osób wtrącono do więzień. Uczestnicy puczu działali według planu „Prometeusz”, opracowanego zawczasu w najdrobniejszych szczegółach w sztabach NATO. Wiadomo dziś, iż podobne plany opracowano także dla innych państw zachodnioeuropejskich, np. dla Włoch. Koła skrajnej prawicy nie ograniczyły się do bezprecedensowej kampanii propagandowej, żeby tylko nie dopuścić do udziału komunistów w rządzie państw NATO, planowano wojskowe przewroty w celu ustanowienia prawicowej dyktatury. Zamierzenia te w porę udaremniono, a opinia publiczna poznała fakty, świadczące o powiązaniach zagranicznych wywia-

NATO.

OŚRODEK

SIŁ WROGICH ODPRĘŻENIU

w roli „straży pożarnej imperializmu w Zachodniej Europie”. Innymi słowy, Pakt Północnoatlantycki będzie palką w rękach przywódców NATO, którą polechcie się od czasu do czasu kłębnych partnerów. Parę przykładów.

Szeroki rezonans — jak informuje „Unsere Zeit” — wywołał we Włoszech wywiad, którego udzielił parę miesięcy temu rzymskiej gazecie „Repubblica”, jeden z wysokich urzędników włoskiej służby kontrwywiadu. Powiedział on, iż w porównaniu z zabójstwem Aldo Moro brały udział zagraniczne wywiady, „mające na widoku jeden cel: nie dopuścić włoskich komunistów do udziału w rządzie”. Włoski doskonale wie, że chodzi tutaj o Centralną Agencję Wywiadowczą USA, zachodniomemiecką Bundesnachrichtendienst i określone służby NATO w Brukseli. Od pierwszych dni istnienia Paktu mieszanie się w wewnętrzne sprawy suwerennych państw należących do niego, stało się codzienną praktyką NATO.

Już 18 marca 1949 roku ówczesny sekretarz stanu USA, D. Acheson, powiedział, że „rewolucyjna działalność w jednym z krajów Paktu będzie się uważać za podważenie całego systemu państw NATO i będzie się za to odpowiedzialność karać”. Na żądanie USA do tekstu Paktu Północnoatlantyckiego włączono klauzulę, faktycznie uprawiającą Pakt do mieszaniania się w wewnętrzne sprawy krajów członkowskich. Chodzi tutaj o „konsultacje” w wypadku, gdy wyłoni się „zagrożenie niekwalifikacji regionu, politycznej niezawisłości lub bezpieczeństwa jednej z układających się stron”. Z art. 2 porozumienia, w którym państwa członkowskie wyrażają wiarę zasadom kapitalistycznego systemu, iż jakakolwiek próba ograniczenia władzy kapitału będzie uważana za „zagrożenie niezawisłości i zostanie stłumiona przy użyciu broni”.

W Grecji, po puczu „czarnych pułkowników” w dniu 21 kwietnia 1967 roku, zakazano działalności partii de-

dów z faszystującymi oficerami i tzw. Czerwonymi Brygadami.

Sojusz NATO z reżimami skrajnie prawicowymi jest jedną z tradycji Paktu. Był on głównym oparciem dla faszystów w Hiszpanii i Portugalii, pomógł w dojściu do władzy faszystom w Grecji. Upadek tych reżimów wzbudził zaniepokojenie NATO-wskich przywódców. Głębokich sprzeczności między partnerami, powodujących erozję stosunków wewnątrz NATO, nie mogły ukryć rządy krajów członkowskich. Narodził się więc wysiłkiem zbrojeń. Coraz większą popularność zyskuje żądanie rozwiązania wojskowych bloków. Rośnie zrozumienie wśród społeczeństwa Zachodu, że nie wciąż nowe programy zbrojeń NATO, lecz odprężenie odpowiedzi interesem wszystkich narodów. I właśnie dlatego liderzy tego agresywnego bloku wojskowego stawiają na interwencję w wewnętrzne sprawy państw, przywołując partnerów do porządku. To potrząsanie palką jest szczególnie widoczne w ostatnich latach, charakteryzujących się znaczącym zaostrzeniem kryzysowych zjawisk kapitalizmu na tle dynamicznego rozwoju socjalizmu i jego sukcesów w procesie odprężenia.

Coraz bardziej oczywiste staje się fakt, iż NATO jest dzisiaj w Zachodniej Europie centralnym ośrodkiem sił wrogich odprężeniu. NATO jest także najpoważniejszą przeszkodą w uzupelnieniu odprężenia politycznego, odprężeniu militarnym. Wszystko to wzbudza zaniepokojenie. Szereg przykładów potwierdza, iż wojskowi i polityczni liderzy NATO, jak np. głównodowodzący siłami zbrojnymi Paktu, gen. Haig, czy generalny sekretarz Luns, są bezpośrednimi wyrażicielami ideologii najbardziej reakcyjnego skrzydła kół rządzących USA i amerykańskiego kompleksu wojsko-przemysłowego.

JERZY CZECH

NAUKA

„ZAKURZONY” OCEAN

Stwierdzono, iż na drogach morskich jest nie mniej kurzu, niż na lądowych. Chodzi tu o jak najbardziej prawdziwy kurz. Miliardy małych kropelek, zdmuchiwanych przez wiatr z grzbietów fal, wysychają i kryształki soli unoszone występującymi prądami powietrza przemieszczają się w górne warstwy atmosfery. Przy tym sól w tej warstwie stanowi zaledwie trzecią część całej masy. Pozostała część, to związki siarkowe, sole metali, mikroorganizmy planktonu. Jak wskazują obliczenia, na terytorium Związku Radzieckiego, z deszczem, śniegiem i gradem spada rocznie ponad 250 milionów ton soli (!). Czy tak ogromne zasolenie jest korzystne, czy też nie. Odpowiada na to pytanie nauka. W atmosferze, np. nad Morzem Kaspijskim, przy szybkości wiatru 6 m/sek., zawisa w powietrzu 30 tysięcy ton morską kurzu, a przy szybkości wiatru — 10 m/sek. — czterokrotnie więcej. Na Dalekim Wschodzie, passaty, wiejące zimą od lądów, okazały się co najmniej dwukrotnie „przejrzystsze” od wiatrów letnich, wiejących z morza. Zmniejszenie atmosfery powoduje właśnie kurz oceaniczny: 200 tys. mikroskopijnych cząstek w każdym sześciennym centymetrze „solonego” powietrza morską drogą.

Stopień tego zanieczyszczenia bardzo interesuje specjalistów, badających przemysłowe zanieczyszczenia atmosfery. Także lekarze z uzdrowisk są zainteresowani informacją o najbardziej „zakurzonych” miejscach wybrzeży, ponieważ morskie aerozole są znakomitym środkiem w leczeniu wielu chorób. Dla marynarzy też nie jest obojętna informacja, gdzie unosi się pył. Obecnie najbardziej „kurzy” środkowy Atlantyk. Natomiast unikanie przezroczysta atmosfera jest we wschodniej części Oceanu Indyjskiego.

„DZIURA” W MORZU

Z wysokości Kosmosu rejon południowej części Morza Sargasso (basen północnoamerykański), wygląda jak otwarta rozpadlina. Dokładne pomiary wykazały, iż poziom powierzchni oceanu, jest tutaj niższy, średnio o ponad 15 metrów! A średnica zadiwiałego lejka wynosi bez mała 300 kilometrów. Skąd się wzięła ta „dziura”? Wszyskiemu winne jest ukształtowanie dna tej części Atlantyku — twierdzą uczeni. Znajduje się tutaj jedna z najgłębszych i najbardziej stromych rozpadlin kuli ziemskiej — Puerto Rico. Rozpadlina, ukształtowana w rejonie sławnego „Bor-mudskiego trójkąta”, nie posiada tajemniczych właściwości, natomiast pozwala uczytnom na zbieranie cennych informacji o charakterze skał wysięających jej dno. Zupełnie mizikne, że tam, w głębinie znajdują się złoża kruszców.

Istotnie, w ukształtowaniu powierzchni wody „odbijają się” geologiczne struktury dna oceanu. Na przykład takie anomalie wykrywa się przy pomocy zjaw wiatrowych. W oceanie sama woda wyraźnie rysuje skrzywienia pola grawitacyjnego. A to jest już kluczowe do wykrycia wielu tajemnic kryjących się w samej ziemi. Tak więc sztuczne satelity mogą się stać w perspektywie morskimi geologami.

(C.)

■ PO RAZ PIERWSZY W DZIEJACH ■ ODŻYWA NIEBEZPIECZEŃSTWO ■ IMPAS W WASZYNGTONIE

Już w czasie druku poprzedniego numeru „Odgłosów” biały dym nad Watykanem obwiesił wybór nowego papieża. Po raz pierwszy od ponad 450 lat został nim nie Włoch, po raz pierwszy w dziejach kościoła — Polak.

Czy można było spodziewać się wyboru Karola Wojtyły, kardynała i metropolity krakowskiego?

Konklawe osłonięte jest ścisłą tajemnicą. Ale i w takim przypadku możliwe są przecieki. Dziś na przykład wiemy, że kardynał miał pewne szanse i w czasie poprzedniego konklawe, a zatem jego wybór teraz nie jest całkowitym zaskoczeniem. Ale świat o tym nie wiedział. Wydawało się, że tradycja pięciu bez mała wieków i tym razem nie została złamana, a jeśli nawet — to na korzyść jednego z kardynałów latyno-amerykańskich. Tak też prognozowali w jednym z poprzednich komentarzy. Stało się inaczej. Stąd zupełny szok w wielu krajach zachodnich i pełne wymowy, choć krótkie, tytuły w wielu gazetach: „Papież ze Wschodu”, „Papież z Polski”, czy też: „Wyłom w kościele na rzecz Wschodu...”

Tamtejsze dzienniki opublikowały nie tylko oficjalny życiorys nowego papieża, a dziennikarze dosłownie spłądowali jego dotychczasową siedzibę w Krakowie. A więc sensacja najwyższego rzędu!

Papież jest głową kościoła rzymskokatolickiego, ale też szefem państwa watykańskiego. W jednej i w drugiej roli może mieć wpływ na kształtowanie opinii, a zatem wpływa na proces budowy trwałego pokoju. Ze jest to dziś zadanie najważniejsze — nikogo nie trzeba przekonywać. Weszliśmy na drogę odprężenia ale — za sprawą przeciwników pokojowej współpracy między państwami — wiele pojawiło się na niej zakrętów i przeszkód do pokonania. A odprężenie musi być przecież wciąż podsyćane nowymi faktami. Inspirują je kraje socjalistyczne wspólnoty. Ileż tu już było inicjatyw, mających na celu pohanowanie wysiłku zbrojeń, wprowadzanie nowego ładu ekonomicznego, czy też wyeliminowanie czynników dyskryminujących w handlu i współpracy międzynarodowej! Niestety, tylko niektóre przyoblekają się w realny kształt.

Jan Paweł II, wykorzystując auto-

rytet kościoła na wielu kontynentach, może śladem swych trzech poprzedników odgrywać w tym kierunku pozytywną rolę. Sądząc po orędziu „Urbi et orbi” taką właśnie działalność zamierza prowadzić. Linia pokoju i międzynarodowej współpracy dla wszystkich współpracy wynika z naszych polskich, programowych celów. Dla jej urzeczywistnienia w szerszym wymiarze konieczne jest wsparcie wszystkich, którzy zdają sobie sprawę ze współczesnych zagrożeń i znają cenę wojny.

Gdy piszemy ten komentarz trwa już w Moskwie rozmowy sekretarza stanu C. Vance z mln. A. Gromyko. Wiadomo, że w podstawowej części są one poświęcone rokowaniom SALT II, które, według różnych prognoz, mają zbliżyć się do pomyślnego końca.

Ala jednocześnie w Waszyngtonie ujawniono, że prez. Carter udzielił zezwolenia na produkcję „niektórych elementów głowic rakietowych i pocisków z ładunkami neutronowymi”. A więc po zawieszeniu na czas nieokreślony produkcji nowego rodzaju broni przeciwko której wypowiedział się świat, znów odżywa realne niebezpieczeństwo.

Na tych dwóch przykładach widać wyraźnie, jak złożony to obecnie problem, powstrzymanie wysiłku zbrojeń. W czasie toczonej się właśnie obrad Komitetu Politycznego

ONZ na temat rozbrojenia wypowiedane są opinie o konieczności „jak najszybszego położenia kresu wyścigowi zbrojeń i zapoczątkowania rzeczywistych kroków rozbrojenia”, a jednocześnie koła militarne Zachodu powracają do koncepcji tworzenia nowych rodzajów i systemów broni.

Chcemy wierzyć, że ostatecznie zwycięży rozsadek i na błędnej drodze zbrojeń nie pojawią się nowe fakty.

A teraz jeszcze nieco o separatystycznych negocjacjach egipsko-izraelskich, jakie toczą się w Waszyngtonie.

Pod koniec ub. tygodnia po raz pierwszy przełamany został mur tajemnicy, jakim otacza się rokowania i ujawniło się, że znalazły się w impasie. Zdaniem kół zbliżonych do konferencji — rozbieżności dotyczą przede wszystkim: powiązania traktatu pokojowego z kwestią palestyńską, rekompensaty za ropę, jaką w czasie 11-letniej okupacji Synaju wydobylali Izraelczycy oraz innych płatności, mających charakter odszkodowań.

Interesujące, że przecieki o trudnościach w rozmowach bardzo zdenerwowały Cartera i zarówno sam, jak i inne koła amerykańskie próbują pomniejszyć ich znaczenie dla dalszego przebiegu negocjacji.

W. ŚLAWSKI

Czy możliwa jest legalna kontrabanda, czyli zwyczajny, jawny przemyt? Albo też czy można bezczelnie i bezkarnie „orząść” Skarb Państwa na ponad ćwierć miliona złp? Urwać nielegalnie ćwiartkę od „sześciu fajerek z hakiem” i legalnie się z tego wykrecić, wymigać od wszelkiej odpowiedzialności? Niebawale to, niesłychane, a jednak...

Kiedy celnicy na przejściu granicznym nakręcił gościa z przemytem, wydawało się, że to jeszcze jeden naiwny cwaniaczek. Gdy przystawiono go do sprawy do ostatecznej „obróbki”, wyłaziła na światło dzienne jedna pospolita afera przemytnicza. Ot normalna...

Ale kiedy już doszło do rozprawy, gdy rozwinął się sądowy spektakl, wszystko nagle „stało się deba”. No bo jak by na te sprawy nie spojrzeć, ciężkim wychodziło na to, że choć przestępstwo jest ewidentne to jednocześnie całkowicie legalne i zupełnie bezkarne w całym mieście surowego prawa!

Osiem lat później sądowy palestrant prokurator omal nie oświadczył, że zrzeczoł a widownia sądowa kompletnie skołowała! Zaczął się „listy cyrk” gdzie długo nikt nie mógł się połapać o co właściwie w tej całej sprawie chodzi i co też zrobić z tym nieprawdopodobnym fan-

Ulubieniec fortuny

Janusz Z. nie mógł narzekać na brak szczęścia w życiu. Był prawdziwym ulubieńcem fortuny. Od samego początku wiodło mu się znakomicie. Urodzony w 1941 r. w zamożnej rodzinie inteligentów, śląskowo i w pełnym dostatku przeżył lata wczesnego dzieciństwa. Potem gładko przeszedł szkołę podstawową, liceum i studia w SGPS w Warszawie. Inteligentny nadzwyczajnie, bardzo zdolny, w 1963 r. uzyskał dyplom magistra ekonomii. Wyróżnieniem Jaka naliczyli absolwent uczelni, wyjechał następnie na 2 lata do USA, na praktyki podopiecznego do jednej z wielkich firm amerykańskich. W ramach praktyk zwiedził zupełnie darmo i poznał kawał świata nie tylko Stany Zjednoczone, Kanadę ale i prawie całą Europę zachodnią. Do kraju wrócił bogaty w wiedzę fachową, ze znakomitymi referencjami. Owo bogactwo zostało jeszcze uzupełnione sporą sumką dolarową otrzymaną od dobrej cioci z Detroit, na trudne początki samodzielnego życia. W ojeżdżanie czekała nań stekłona rodzinka pięknie mieszkająca za dewizy oraz nader intratna osada w Ministerstwie Handlu Zagranicznego załatwiająca przez zapobiegliwego tatufiora. Rzecz można — samo szczęście! Tylko pozazdrościć!

Ale, jak pisała, apetyt rośnie w miarę jedzenia. Januszowi Z. najwidoczniej mało było jeszcze owo szczęście, no w drodze powrotnej do kraju zatrzymał się na rok najpierw we Francji, potem w RFN, by trochę tam popracować za miana walute, pomnożyć majątek. Pracował więc jako gastronomiczny asystent w wielkim mieście handlowym, potem jako kelner w eleganckim lokalu, a na koniec w charakterze agenta ubezpieczeniowego w renomowanej firmie. Próbował też szczęścia na giełdzie, z niejakim powodzeniem. Zbił szmal...

Niefart

Czas uływał szybko, pechowi kłesa, ale rozłaka i samotność doświadczał coraz bardziej. Wreszcie Janusz Z. uznał, że dosyć tej harówki na obczyźnie i czas wrócić do stron rodzinnych by tam dalej mógłby fortunie i zasłuli. Przyszłość jawiła się wspaniała; czekała nań przecież piękna mieszkanie, supersamochód przysłany w międzyczasie przez kochającą ciocię z Ameryki, no i znakomita osada w MHz. Czekali nań także niecierpliwie iasnowidzcy celnicy.

No i stało się! Po raz pierwszy w życiu Janusza Z. opuściło szczęście. Dopadła go kontrola celna. Potem sąd i wyrok — całe 4 „kalendary” i wysoka grzywna na dokładkę. Cholewn niefart!

Kiedy wreszcie wywał się z naki, musiał mocno poszukać. Nie mógł tak od razu odrzucić chorka, znów poszukał się na wielkie interesy. Musiał się trochę ustakować, zrehabilitować się jakoś za błędy młodości, naprawić mocno nadwężoną opinię.

Osiem lat, został ojcem, podał stała pracę w nowej siedzibie Centrali Handlu Zagranicznego. Ale i ta praca była przecież nie należąca. Niezłe zarobki, a z czasem nawet o dyżur, służbowe wyjazdy za granicę. Można było jakoś żyć.

Nie ze wszystkim jednak musiało być tak dobrze bo pewnego dnia Janusz Z. pojechał się „Centrala”. Jakoby ze względu na złe stosunki, między innymi, Rychło jednak podjął pracę w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym pewnego zjednoczenia rozwojowego. Ta praca okazała się o wiele nieopłatniejsza, a i służbowe wyjazdy za granicę znacznie częstsze. Poia-

wili się możliwości szybkiego awansu kariery.

W 1973 r. Janusz Z., za zgodą swego pracodawcy rozpoczął pierwsze studia w Wyższej Szkole Kunców Eksportowych w Wiedniu, myśląc o doktoracie Korzystał z paszportu wielokrotnego, zaczął coraz częściej bywać za granicą, niekoniecznie w celach li tylko naukowych.

Odzwił marzenia o wielkiej fortunie! Mocno wybujała i zbyt długo

temperowana natura biznesmana znów dala znać o sobie. Zaczęły się na powrót intereski, kombinacje, drobny szmugiel. Janusz Z. zaczął porastać w ówka, mnożyć interesy i dostatki. Odzyskał dawny cwaniacki tupet. Nawiązał szerokie kontakty z podobnymi sobie amatorami sztybek i łatwych zysków. Ruszyła kontrabanda. Najpierw powoli, cieniutko, ale z czasem interesy zaczęły się rozkładać coraz bardziej.

Rychło jednak i niespodziewanie się skończyły. Podczas któregoś z kolejnych wyjazdów do Czechosłowacji, w czerwcu 1974 roku, Janusz Z. znów miał cholernego pecha! Nagła wpadka, przeczłł towar miał znakomicie ukryty. Ani chybł ktoś go musiał zakopować, bo celnicy

tejszych klubach „kolekcjonerskich” można kupić znaczki pocztowe i numizmaty o wiele taniej niż w Polsce i o wiele więcej. Jednocześnie wiedział też o tym, że w Berlinie Zachodnim ceny na owe walory są nieproporcjonalnie wyższe niż w Polsce i Czechosłowacji. Owe różnice cen stały się dla Janusza Z. punktem wyjścia do wielkiego biznesu.

Przy różnych okazjach wyjazdów za granicę zaczął wywozić dewizy o określonych cenach w walorach, oczywiście posiadając każdorazowo odpowiednie zezwolenia. W ten sposób w okresie od czerwca 1974 r. do wiosny 1975 r. wywoził do Czechosłowacji dewizy w gotówce i czekach — równowartość ponad 50 tys. koron czeskich. Fundusze te przeznaczył na zakup w Pradze filatelistycznych i numizmatycznych okazów kolekcjonerskich o dużej wartości.

Za pierwszym razem, jeszcze w czerwcu 1974 r., w jednym z klubów kolekcjonerskich w Pradze kupił stare monety pruskie bawarskie i badeńskie na łączną sumę 3.500 koron czeskich. By uniknąć wielokrotnego ryzykownego przewozu „towaru” przez

Pozostało jeszcze tylko wybrać odpowiedni termin na zagraniczny wyjazd z tą superkontrabandą do ugratowania fortuny. Okazja trafiła się niebawem. Na 18 stycznia 1976 r. Janusz Z. miał wyznaczoną delegację służbową do Wrocławia. Wyjazd ten postanowił wykorzystać jednocześnie na wyjazd do Berlina Zachodniego. Kilka dni wcześniej urzędził więc o tym niemieckim kolekcjonerze Wernerem G. polecając mu, by czekał na 19 stycznia na dworcu kolejowym w Berlinie z całym przechowywanym u niego depozytem. Zaczął przygotowania do wyjazdu.

Przy okazji miał też załatwić pewną „przysługę” swojemu przyjacielowi filateliście. Otóż Stanisław B. widząc o planowanym wyjeździe po ośsi Janusza Z. o przesłanie kilku listów i ofert handlowych do kontrahentów w RFN oraz o przewóz kilkudziesięciu kopert filatelistycznych dla znanych Janusz Z. zabrał owe listy oraz koperty i parę znaczków na sumę ok. 600 zł. Ponadto Stanisław B. przekazał mu jeszcze czek na 490 marek RFN, który otrzymał od swojego krewnego za granicą, z prośbą,

przekazane przez Stanisława B. Zagraniczne środki płatnicze podał ze swych kont walutowych w Polsce, bądź miał z legalnej wymiany. Przewoził je w ukryciu, ponieważ takiej ilości dewiz nie wolno było wywieźć oficjalnie z Polski.

Po wymianie przewożonych walorów na marki zachodniemieckie miał dokonać w RFN zakupu samochodu. Tylko korony czeskie wioł rzekomo w tym celu, by w powrotnej drodze przez Czechosłowację kupić tanio w Pradze numizmaty i znaczki, by potem sprzedać je w Polsce z zyskiem.

Przesłuchania trwały od stycznia do marca, ale Janusz Z. nie zmienił swoich zeznań ani na iote, twierdząc obstarcać przy podanej już wersji, jakoby cały szmugiel przewoził przez teren NRD niejako „przez wiatr”. W marcu więc władze niemieckie przekazały przemytnika polskiemu organom ścigania. Prokuratura Rejonowa w Słubicach która przeleżała postępowanie karne w tej sprawie od Prokuratury Okręgowej we Frankfurcie nad Odrą przekazała je następnie za pośrednictwem Prokuratury Wojewódzkiej w Gorzowie Wlkp. — Prokuraturze Wojewódzkiej w Łodzi. Janusz Z. powrócił do rodzinnego miasta „ciucha-sem”.

Va banquet

Od momentu przekazania polskiemu władzom Janusz Z. w zasadniczym sposób zmienił zeznania i sposób obrotu. Wiedząc doskonale, że skonfiskowane walory przejdą bezpowrotnie, postanowił jednak ratować własną skórę za wszelką cenę. Tylko wolność dawała mu jakieś szanse; na wolności mógł jeszcze się odkuć, odrobić pomiesione straty, nie tak to inaczej!

Oświadczył więc, że znaczki i monety kolekcjonerskie zakupił na terenie Czechosłowacji w okresie od czerwca 1974 do września 1975 roku. W tym czasie podał ze swoich kont dewizowych i wywoził legalnie za granicę równowartość ok. 50 tys. koron czeskich. Za część tych pieniędzy dokonał zakupu monet i znaczków. Następnie zdeponował je u Jaromira V. w Pradze. We wrześniu 1975 r. przewoził wszystko z Pragi do Berlina i zostawił na przechowanie Wernerowi G. Jemu też przekazał resztę nie wydanych w Czechosłowacji pieniędzy, polecając mu dokupić za to monety i znaczki w NRD. W styczniu usiłował przewieźć walory kolekcjonerskie, w specjalnie przygotowanej przez Wernera G. kamizelce, z tereną NRD do Berlina Zachodniego, aby tam sprzedać je z zyskiem. Z Polęd natomiast zabrał ze sobą tylko notatki i klasyfikacja i wycena znaczków i monet.

Tak więc dokonał przemytu z Czechosłowacji do NRD, usiłując następnie przenieść „towar” do Berlina Zachodniego. Zatem nie może być karany za przemyt, gdyż prawo polskie nie obejmuje tego typu przestępstw dokonanych przez obywateli polskich na terenie innych krajów! Tak też było istotnie!

Janusz Z. mógł odpowiadać za przemyt tylko przed sądem niemieckim. A władze NRD już zamknęły postępowanie karne wobec Janusza Z. przekazując jego sprawę polskiemu organom ścigania. Za zgodą z polskim ustawodawstwem, przed polskimi sądami, Janusz Z. — jak to logicznie wynikało — nie miał za co odpowiadać!

Co najwężel groziła mu grzywna za nielegalny wywóz kilkudziesięciu kopert filatelistycznych, kolekcji ZSR, polskich led. notizówek z 1949 r. oraz czeku otrzymanego od Stanisława B. Ale co tam taka grzywna która mógł z łatwością zapłacić! Ważniejsza była wolność! A na wolności zawsze można jakoś się odkuć...

Taki to numer! Wyciął ten nieprawdopodobnie sprytny cwaniak! Takiego jeszcze nie było. To dopiero superkontrabanda! Osiem lat później trybunał, palestrant, prokurator omal nie oświadczył ze zrzeczoł, a widownia sądowa kompletnie skołowała. A wszystko to za sprawą cwaniaka, iakiegoś dawno nie mieli...

Epilog

W czerwcu 1978 r. Janusz Z. został zwolniony z aresztu tymczasowego za poręczeniem majątkowym w wysokości 100 tys. zł. Dochodzenie trwało, gmatwało się zeznania świadków, wielu faktów nie sposób było ustalić, ponieważ n. niemieckiego kolekcjonera nie można było odszukać. Janusz Z. kombinował coraz to nowe „jamizłówki” całą sprawą popłatała się nieprawdopodobnie.

Wszystko wskazywało na to, że ten nadzwyczajny cwany szmugler wykreci się z całej historii przysłówiowym „ślanem” a co najwężel stosunkowo niewielka grzywna. Od woadki miał przewieźć rok, a Janusz Z. chodził na wolności bezkarne. Wymiar sprawiedliwości wciąż nie mógł go doścignąć i wydawało się, że nigdy się to nie uda. Tak Janusz Z. okazał się rzeczywiście wyjątkowym cwaniakiem takiego jeszcze nie było!

Alisł tylko do czasu! Wbrew jego nadziejom prowadzący sprawę prokurator nie oświadczył ze zrzeczoł. Znalazł sposób na cwaniaka, nowy i skuteczny! Jak? Tego zdradzić nie można. Ow sposób bowiem może się przydać jeszcze na innych, również orzeźwiających cwaniaków. Prawo wreszcie ełz późniel sięga każde go, kto owa prawo łamie! Nawet na największego cwaniaka zawsze znajdzie się „dowiodni”, „kruczek” i odpowiedni paragraf, iasnej wszak był nie model.

W kwietniu 1977 r. dosięgła Janusza Z. surowy wyrok. Jemu i innym doń podobnym ku przestroze. By każdy cwaniak uświadamiał sobie jasno, że największe nawet cwaniactwo absolutnie nie popłaca!

ZBIGNIEW S. NOWAK

SUPERKONTRABANDA



Foto: W. Parys

od razu, bez szukania, trafili na trefny towar. Szczęście w nieszczęście, że niewiele było tego towaru bardzo przy tym łownego. Tak więc i kara za szmugiel nie była wielka. Tylko grzywna, która Janusz Z. zapłacił szybko, co do grosza.

Udało mu się więc takóś wybrnąć z kłopotów ale jednocześnie przekonał się, że nie tedy droga do fortuny. Już przecież dwa razy próbował i dwa razy woadł z kretelem. Stało się jasne, że trzeba koniecznie wykombinować jakiś inny, bezpieczniejszy biznes...

Superkontrabanda

Janusz Z. postanowił wykorzystać swoje hobby i swoje skromne oszczędności. Był wszak kolekcjonerem, namietnym zbieraczem skazów filatelistycznych i numizmatów. Z równym upodobaniem kolekcjonował walory dewizowe, a to oszczędności z dzieł otrzymywanych na wyjazdach służbowe, honoraria za tłumaczenia dokonywane na zlecenia firm zagranicznych wreszcie zapomogi dolarowe od amerykańskiej ciotki z Detroit. Był więc posiadaczem bogatej kolekcji starych znaczków pocztowych i monet oraz aż pięciu kont walutowych. 3 w Łodzi i 2 w Warszawie. To można było wykorzystać, Połaczyć przysiemne z pożytecznym. Niechaj przysiemne będzie też intratne, a pieniądze robi pieniądz! Dobrze pomyślane prawda?

Jako kursant Wyższej Szkoły Kunców Eksportowych w Wiedniu i posiadacz paszportu wielokrotnego, Janusz Z. przeciętnie raz w miesiącu wyjeżdżał do Austrii. Z reguły podróżował przez Czechosłowację. Wolałował także przez Berlin Zachodni, gdzie mieścił się punkt konsultacyjny wiedeński uczełni. Z kolei jako przedstawiciel handlowy swojej firmy też jeździł służbowo za granicę, głównie na Węzry i do Bułgarii, także przez Czechosłowację.

Okazało się to bardzo znaczące dla dalszego rozwoju wypadków. Bowiem właśnie kraj naszych południowych sąsiadów oraz Berlin Zachodni stały się głównymi punktami kolekcjonersko-handlowych załatwiezań Janusza Z. Trasa „Praga — Berlin” miała być ta wymarzona droga do fortuny.

Podczas pobytów w Pradze Janusz Z. szybko się zorientował, że w tam-

granicę postanowił zdeponować je w Pradze. W tym celu nawiązał bliższą znajomość z jednym ze starych członków praskiego klubu kolekcjonerów, Jaromirem V. U niego pozostawił zakupione monety.

Następnym razem oprócz monet nabył też znaczki niemieckie z lat 1935—36 i serie „Watikan” za ok. 5 tys. koron. Do września 1975 r. Janusz Z. wielokrotnie dokonywał zakupów w Pradze starych monet, znaczków i innych walorów filatelistycznych, na co wydawał łącznie ponad 20 tys. koron. Wszystkie zakupione walory zdeponował u Jaromira V.

Wśród znaczków znalazły się niemieckie z lat 1872—1936, polskie z różnych okresów austriackie, z Watykanu. Do tego monety bawarskie, badeńskie, pruskie weimarskie z XIX i XX w., stare monety niemieckie sprzed 1871 r., z okresu III Rzeszy, austriackie rosyjskie i inne.

Na początku września 1975 r. Janusz Z. wszyskie te walory przewiózł swoim samochodem z Pragi do stolicy NRD. Tam skontaktował się z poznanym wcześniej kolekcjonerem Wernerem G., u którego z kolei zdeponował monety i znaczki. Ponadto przekazał jeszcze Wernerowi G. 25,5 tys. koron czeskich pozostałych z zakupów w Pradze, a także 180 lewa i 750 forintów podjętych z konta i wywiezionych za zezwoleniem za granicę. Pieniądże te Werner G. miał wymienić na marki i zakupić za nie na terenie NRD stare okazy numizmatyczne.

Później jeszcze kilkakrotnie Janusz Z. dostarczał niemieckiemu kolekcjonerowi fundusze na zakup starych monet i znaczków, m.in. 800 dolarów USA i 800 marek NRD, które pobral se swolch kont walutowych i wywoził legalnie za granicę.

W trakcie kolejnych spotkań zorientował się jednak, że Werner G. nie jest w stanie zakupić takich ilości monet i znaczków, jak to uprzednio obiecał. Janusz Z. postanowił więc wywieźć na sprzedaż do Berlina Zachodniego te walory, które dotad udao mu się zebrać.

Pod koniec 1975 r. Janusz Z. zwrócił się do swojego przyjaciela, doświadczonego filatelisty Stanisława B. z prośbą, by ten na podstawie opisu przetrzymanych na sprzedaż znaczków i monet dokonał ich klasyfikacji i wyceny. Na początku stycznia 1976 roku odpowiednio klasyfikacja i wyceny były gotowe.

by do zrealizowaniu czeku opłacił w pewnej firmie berlińskiej należność za nadesłane katalogi oraz poczył dlań parę drobnych zakupów.

Wszystko to, łącznie z klasyfikacją i wyceną znaczków i monet, Janusz Z. postanowił przewieźć do Berlina Zachodniego w podręcznej walizce. Oprócz tego zabrał luzem w portmonetce 34 monety kolekcjonerskie ZSRR wartości 150 zł i 10 złotych jednozłotowych monet polskich z 1949 r.

Wielka wyspa

18 stycznia 1976 r. Janusz Z. pojechał do Wrocławia, a następnie do załatwiecia spraw służbowych, do Berlina. Przekraczając granicę Polska-NRD niczego nie zgłosił do odcienia. 19 stycznia przybył na berliński dworzec kolejowy Friedrichstrasse. Tam czekał już na niego Werner G., który zwrócił mu nie naruszony depozyt ze znaczkami i monetami. Uprowadził przy tym, że jest wzmoczoną kontrolą celna na granicy. Jednocześnie wręczył Januszowi Z. specjalnie przygotowaną fanelową kamizelkę z ukrytymi kieszeniami i poradził by wszystkie walory schować do tej kamizelki.

Tego dnia jednak celnicy dosłownie szaleli. Nie dziwnego zatem, że kiedy podczas przeglądu walizki Janusza Z. zauważyli oferty handlowe oraz klasyfikację i wycenę znaczków, postanowili poddać je szczegółowej kontroli. Podczas rewizji o sobistej oczywiście wykryto sprytną kontrabandę w specjalnej kamizelce od ubrania. Janusz Z. został zatrzymany. Po raz trzeci w szmuglerskiej karierze zdarzyła mu się wyspa bardzo poważna. Sprawa wyglądała nadzwyczaj nieprzejmennie...

Władze NRD wszyskie przeciwko Januszowi Z. postępowanie karne. Zaczęły się przesłuchania. Oskarżony o przemyt Janusz Z. wyjaśnił, że 19 stycznia przekroczył granicę Polska-NRD na Odrze w Kunowicach, wywołując z Polski nielegalnie w specjalnie uszytej przez siebie kamizelce monety i znaczki kolekcjonerskie oraz walory dewizowe, na łączną sumę ponad ćwierć miliona zł. Monety kupił w Polsce w sklepach „Desy” i od kolekcjonerów, a znaczki od obywatela polskiego Jarosława W. Natomiast korespondencja i czek zostały mu

Więc najpierw pocałowałem w rękę matkę, potem siostrę, a na samym końcu podszedłem do tapczanu i uściskałem rękę staremu. Po przywitaniu stanąłem na środku kuchni i już więcej nie wiedziałem co mam z sobą zrobić, ani o czym mam mówić. Ale Halina zaraz podsunęła mi krzesło, i wtenczas usiadłem sobie wygodnie jak prawdziwy gość, założyłem nogę na nogę czekając jak dalej potraktują moje przybycie. Upięknęło tak parę dobrych minut, matka skończyła czerować pończochy, posprzątała ze stołu igły i napastrki, i zwróciła się do mnie zapraszając tymi słowami:

— To może pójdziemy do pokoju. Pan, panie ten niech pozwoli.

Pierwszego mnie przepuścili, czym trochę się zmyliwałem, bo były kobiety, i one pierwsze powinny wchodzić. Ale nie. Pierwszy wszedł i ostatecznie usiadłem przy stole nakrytym białym obrusem, z haftami domowej roboty. Matka Haliny szybko nas wszystkich przeliczyła.

— A co ten ojciec — mówi.

— Właśnie, a ojciec — dodaje Halina.

— Tato — woła starsza siostra — Tatusiu.

Wreszcie przywlokł się ojciec. Był jakiś skrzywiony, oczka miał zapuchnięte i czerwone, a twarz nie była ładną. Barchanowa koszula wystawała mu ze spodni, ale po drodze siostra poprawiła. Usiadł i zaczął tak otwarcie ziewać jakby wszystkich nas chciał popołykać.

— To tak na pusto — mówi ziewając i patrzy na mnie. — Co to za czas nastąpi, żeby kawalerowie do teścia bez butelki przychodzili, psia kotka. Co to za czas — powtarza.

Po tych słowach trochę nieprzyjemnie mi się zrobiło. Ostatecznie mogłem te półlitrową butelkę kupić w monopolowym sklepie, ale kto wiedział czy tak wypada, nigdy przecież się nie żeniłem.

— Jeszcze na pewno zdążymy się nie raz napić — tłumaczę mu jak dziecku. — Niech pan, jako ojciec rodziny będzie o to jak najbardziej spokojny.

— Chciałbym w to wierzyć — mruczy stary. — Chciałbym wierzyć.

Znow zrobiło mi się nieprzyjemnie, ale kobiety zaczęły starego obsztorowywać, i przy okazji trochę chichotać. Tylko starsza siostra Haliny była poważna.

— Tato to zawsze — powiada — lubi robić bałagan, jak nie wiem, przyłapał sposobności.

— A bo co — mówi zaczepnie ojciec — nie mam racji. Dawnie, żeby tak przyjeżdżał do teścia z gołymi rękami, to kto słyszał. Zapytaj się ludzi, zapytaj się matki jak ja przychodzę do starego, a raz to go tak spłiem, psia kotka, że przez całą noc nie mógł trafić do domu... A teraz to co za zwyczaj nastąpi.

— Oj stary nie wtygłabyś się przy ludziach — mówi matka i mruga do mnie chytliwym okiem.

Mniej więcej już wiedziałem o co jej chodzi.

— No, bo źle mówię — zaczyna znów swoje ojciec. — Kawaler przychodzi do panny to na pewno mu język kołem stoi, i nie wie co powiedzieć, a jakby wypyl czegoś mocniejszego w towarzystwie, to i pannie powiedziałby coś słodkiego od serca, jej byłoby przyjemnie, to i jego inaczej by traktowała.

Wtenczas Halina jak nie popatrzy na swojego ojca. Takimi wazutkami jak kreski oczami.

— Jak tata nie przestanie — powiada — to nie wiem co zrobić.

— A co zrobisz — woła ojciec. — No co zrobisz. Co za obyczaje, ja mówię, nastąpi.

Jednym słowem kawał zakąty był ze starego. Wszystkie trzy kobiety musiały go uciszać i doprowadzać do porządku. Nie za dobrze się tutaj poczułem, ale przecież nie będę ani z teściem żył, ani z tą całą rodziną, tylko oddzielnie z Haliną w oddzielnym nowoczesnym mieszkaniu z wygodami.

Wkrótce matka podniosła się z krze-

HISTORIA PEWNEJ MIEŁOŚCI

LESZEK
PŁAZEWSKI

sta, i po niedługim czasie stał na stole garnek bigosu, salaterka zimnych nożek, i na dużym talerzu cała fura klusek ze słoniną. To wszystko matka Haliny zaczęła wykladać na małe talerzyki, a kiedy stary sięgnął ręką po jedną kluskę to go tak tyżka zdzieliła, że stary aż zapłakał. W końcu matka Haliny nie wiadomo skąd, bo nie patrzyłem, wyjęła półlitrowkę. Wtenczas stary uciekł się jak dziecko, zatarł ręce i całkiem rozpogodził swoje oblicze.

Na początek wypiliśmy sobie po kieliszku, potem po drugim i trzecim. Matce Haliny trysnęła krew na twarz, otarła sobie ciekącą po policzku łzę i nachyliła się do mnie.

— To co — powiada — dostanie pan, panie kawalerze, mieszkanie.

— A jakże.

— To ładnie — mówi matka Haliny — bo nowoczesne mieszkanie to bardzo cenna rzecz. I myśli pan o Halinie. Ale ja panu powiem, Halina nie jest bardzo gospodarną i stateczną. Halina jest delikatna, pracę biurową wykonuje, niedługo skończy kursy i będzie dyplomowaną maszynistką; a czy taka kobieta ugotuje panu na czas, albo posprząta panu mieszkanie. Szkoda będzie jej rąk. Ale co innego starsza córka. To ja panu powiem, panie kawalerze, że jest do wszystkiego. Urodzona gospodyni i żona. Robota w rękach jej się pali.

Zanimówiłem po tych usłyszanych słowach. Przecież nasze papiery były od paru ładnych dni złożone w Urzędzie Stanu Cywilnego. Poza tym starsza siostra Haliny wcale mi się nie podobala. Miała już ponad trzydziestkę nie była ani ładna ani zgrabna, ani pociągająca do załotów, a oprócz tego dawniej na kartę rowerową żyła z pewnym osobnikiem.

Nie a nie z tego nie rozumiałem. Nic. Ile to innych ładnych młodych kobiet kręciło się koło mnie, choćby taka Lidka ze Skarżyska, czy magazynerka Elżbieta Stokłos od nas z roboty. Więc popatrzyłem na matkę Haliny, tak jakby miała poprzestawiane klepki w głowie, albo zaskodził jej ten kieliszek wódki.

— Nasze papiery — powiadam — proszę pani, już są od dobrych kilku dni złożone w Urzędzie Stanu Cywilnego. I nie wiem dlaczego pani nadmienia w danej chwili o swej starszej córce.

— Cicho — matka przykładła palec do ust i mruga do mnie niby porozumiewawczo.

— Co cicho — pytam. — Czy nie mam pod tym względem racji, skoro nasze papiery...

— Nie chce, żeby kto usłyszał — wyjaśnia mi stary. — Ale mówię to uciec, skaż mnie Bogu, że ze starzej, synu miałbyś więcej pociechy. I bardziej pasując do siebie. A o papiery to wcale się nie martw, jedno i to samo nazwisko noszą moje córki. Można to jeszcze w Urzędzie wszystko odwołać i pozmienić.

— Nie — mówię zdecydowanie. — Mnie się Halina podoba, a jakby nie chciała być moja, to wzięłbym sobie inną, podobną do niej.

— Jak pan uważa — powiada matka Haliny i zaraz dodaje. — A jak panu bóg smakował?

— Bardzo mi smakował — mówię zgodnie z prawdą.

— No właśnie — powiada matka. — To starsza córka robiła. Sama jedna.

— Halina też się nauczy — mówię pojednawczo — nie bądź tam garnki lepią.

— Ale wolalabym, żeby pan to sobie jeszcze raz przemyślał — mówi matka — i czasem Halinie o tym ani jednym słowem nie wspomni, bo wszystko w tajemnicy panu mówię, jako matka odpowiedzialna za koleje życia swych dzieci.

— Co mam wspominać — powiadam. — Ja już sobie przemyślałem wszystko, i nie mam potrzeby Halinie tego wspominać, bo by mogło być jej przykro.

W tym właśnie czasie, kiedy rozgadałem się z matką Haliny, ojciec ponalał do kieliszków resztę wódki, opróżniając do ostatniej kropelki butelkę. W końcu jeszcze raz wypiliśmy. Potem Halina podłączyła do radia adapter o ładnej błyszczącej obudowie i zaczęliśmy już inny rodzaj posiedzenia.

Halina miała bardzo modne płyty ze śpiewem w brzmieniu zagranicznym, tylko tańczę nie było gdzie. Stół, szafa dwudrzwiowa, kredens i prawie cały pokój zajęty. Mimo to w mieszkaniu zapanało bardzo wesołe bezpośrednie nastroje. Ojciec tylko z powrotem zrobił się markotny i z powrotem zaczął ziewać.

Halina tym razem zbliżyła się do mnie na bliską odległość i usiadła na tym samym krześle, co ja siedziałem. Bliskość jej ciała, jeszcze dla mnie nie znanego, odczuwałem dokładnie tak samo chyba jak ona.

Halina mnie pyta:

— A ty Zdzisław grający jesteś w karty?

— A jakże — mówię — prawie we wszystkie gry karciane umiem grać, chociaż nie jestem żadnym hazardystą.

— To możemy zagrać w remika, albo i w dumnia — proponuje Halina.

— Lepiej w tysiąca — wtrąca siostra Haliny, która ma na imię Wacław. — Umie pan w tysiąca, bo ja w to najlepiej jednak lubię.

— Umie pan to i w to — odpowiadam pewnie. — I sam też wolę w tysiąca, tylko nie wiem czy Halinka będzie miała życzenie.

— Niech będzie tysiąc — powiada Halina. — Zaraz weźmę długopis.

Sięgnęła do torebki opuszczając tym samym krzesło, na którym obydwoje dzieliliśmy jedno miejsce. Z torebki wyciągnęła notes i długopis, bo jako pracownik umysłowy takie przedmioty zawsze dostawała służbowo z pracy i zawsze je nosiła przy sobie.

Rozsiadliśmy się przy stole we trójkę. Ojciec nie wiadomo kiedy wywniósł się z pokoju, i zaraz z kuchni rozległo się chrapanie jakby parowóz zbliżał się do stacji. Matka zaś przyniosła nam w szklankach z podstawkami herbatę, cukier w cukienkach, oraz krusze ciasteczka domowej roboty.

Pijąc herbatę graliśmy towarzysko i z zaciekowaniem wśród dotykania swych rąk i ogólnej bliskości swych ciał. Tak wesoło upływał nam czas do dwudziestej drugiej trzydzieści. O tej właśnie godzinie podniosłem się z krzesła, podziękowałem za miłe przyjęcie, i pożegnałem się z rodziną swojej przyszłej małżonki.

Do samych drzwi wyjściowych odprowadziła mnie matka Haliny, znow zwracając się do mnie, żebym nie nadmieniał Halinie, że mnie namawiała na Wacław, bo Halina nie o tym nie wie i nie ma prawa wiedzieć. Odpowiedziałem, żeby była spokojna o to, na pewno o takich głupstwach nie będę wspominał Halinie, ani żadnej innej osobie. Ale co się tyczy mnie samego, słowa matki Haliny na nowo mnie zmotywowwały, coś takiego poczułem jakby ktoś chciał mnie ostrym narzędziem ukłuć w samo serce. Mniejsza z tym. Jeszcze raz pożegnałem się z matką i wyszedłem z tego domu.

Czas nam spokojnie upływał. Do zawarcia związku małżeńskiego pozostało kilka dni. Halina coraz ładniej wyglądała, na każde spotkanie wychodziła w innej sukience albo innej bluzce. Stawała się dla mnie bliższą osobą, myślałem dużo o niej. Ale Halina nie zawsze mogła poświęcić czas na nasze narzeczęskie spacery, bo jak twierdziła miała całą masę obowiązków. Chodziła jeszcze na kursy na dyplomowaną maszynistkę. Więc często na spacer wychodziłem sam, ale już unikałem swoich dawniejszych kumpi, co to z nimi popijało się w różnych miejscach, albo zaczęło się dziewczynę. Zamieniałem się powoli w statecznego człowieka, takiego który z pewnością podobał obywatelom i trudnościom jako głowa rodziny. Jako mąż i ojciec przyszłych dzieci zrodzonych już w innych warunkach niż my oboje mieliśmy, w naszym nowoczesnym mieszkaniu.

W domu i w robocie dużo o tych sprawach myślałem. Często też rozmawiałem z naszym kierownikiem, a był to starszy porządny gość, o przeniesienie mnie na slusarnię. Kierownik przyrzekł mi, że załatwi to w najbliższych tygodniach. Miałbym wtenczas kawałek niezłego fachu, z którym już nie zginąłbym na tym świecie. Można zrobić jakąś fuchę, chętnie człowieka zostawiliby po fajrannie.

Tylko jeszcze jedno zagadnienie, to kobiety. Ciągłe nie dawały mi spokoju, jakby był zupełnie wolnym człowiekiem, a nie silnie związany uczuciowo i materialnie nawet z wybraną osobą.

Ciągle widziałem ich załotne spojrzenia, kręcenie biodrami w prawo i w lewo, miłe uśmiechy. Jak na ten przykład pewna niewiasta o kasztanowych włosach z rozdzielną, albo magazynerka Elżbieta Stokłos. W dalszym ciągu prosiła mnie o ogień, o palerosa. Często jeździła ze mną wózkami po hali. Ale kiedy tak niechętny

zapropomowała mi, żebyśmy poszli do kina, po głębszym zastanowieniu odmówiłem. Nie chciałem myśleć o jakimś głupim filmie, wolałem myśleć uciec, o Halinie i czekającym mnie wkrótce życiu rodzinnym z nią. Tym niemniej jedna sprawa mocno mnie poruszyła. Otóż w bieżącą sobotę, kiedy wybrałem się na samotny spacer, pewien napotkany znajomek oznajmił mi, że Halinę widział z jakimś osobnikiem z baczkami. Podziękowałem spokojnie temu znajomemu za informację, nadmienając przy okazji, żeby na drugi raz nie zajmował się takim donosicielstwem, bo ja tego się brzydzę. Zaraz też odszedłem od niego, ale krew zaczęła się we mnie gotować. Działo się to wszystko koło parku. „Dla mnie nie ma czasu, pomysłalem, dla swojego przyszłego małżonka, a dla innych ma — to jak to jest!”

Poszedłem Haliny szukać, ale nie miałem pojęcia w jakiej stronie naszego osiedla mogła teraz przebywać. Mogła przecież już dawno pojechać autobusem lub pociągiem do innej dzielnicy.

Więc tylko doszedłem do przystanku autobusowego, no i wtenczas zamiast Haliny spotkałem tego kumpia, co mnie pewnego dnia zaprosił do siebie do domu i tam poznałem Lidkę ze Skarżyska.

— Kogo to widz — powiada ten kumpel od razu. — Nigdzie się nie pokazujesz od tego czasu jak wystawiłeś do wiatru Lidkę.

— Tak wyszło — odpowiadam mu grzecznie. — Nie mogłem utrzymać z nią dalszego kontaktu, bo inna sytuacja w międzyczasie wynikła.

— To mogłeś się z nią nie umawiać — on mi na to. — Robisz dziewczynę nadzieję. Mówisz o nowym mieszkaniu, pokazujesz wniosek.

— Kto wiedział! — tłumaczę mu — że tak wyjdzie jak obecnie, a nie inaczej.

On popatrzył na mnie uważnie. Miało się już pod wieczór. Przydrożne drzewa przyjemnie szumiły, na ulicy dużo spacerowało ludzi.

— Z Haliną Maczką kręcisz — on mówi. — Wiesz, że z nią na całego. Ale nie wiem czy wiesz, że ona spotyka się także samo z innymi. Lepiej byś się zajął Lidką. Mówię ci to jako kumpel kumpiów. Akurat poszła na lody, chodź, pogadasz sobie z nią.

Znow we mnie złość zakpiła. Halina z innymi, czy to naprawdę możliwe.

— Do Haliny to lepiej się nie wtrącaj — powiadam mu — bo my już jesteśmy prawie po słowie.

Ten kumpel uśmiechnął się i przygładził ręką swoje inne włosy. — Z łomą to ja dziewczynami byłem po słowie i do dziś jestem wolnym człowiekiem. Nie obliczyłbym ich na palcach obydwóch rąk.

— Bo ciebie żadne poważne sprawy nie fascynują z tymi kobietami — powiadam — a tu jest inaczej.

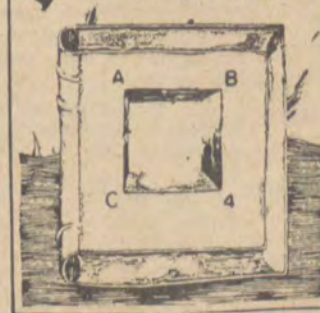
— To znaczy, że wzięła cię na tę swoją małą rzecz — on mówi. — No, chyba nie powiesz, że ci tam ciągle zastawia szlaban.

— Wcale nie masz racji — mówię. — Mnie na razie wcale o to nie idzie. Na to sam przyjdzie czas w odpowiedniej chwili. A biorę ją z własnego upodobania, bo uważam, że jest na miejscu.

Rozmawiając tak przeszliśmy kilka kroków. Coraz więcej ludzi pokazywało się w tej stronie naszego osiedla. A najwięcej przed prywatną lodziarnią Stanisława Fury, gdzie na chodniku się zatrzymaliśmy. Ta lodziarnia mieściła się w drewnianej zielonej budzie, ale była elegancko oświetlona, tak że ludzi tam było wyraźnie widać niż za białego dnia. Zerknałem pod światło czy przypadkiem wśród innych osób nie ma Haliny. Ale wtenczas zamiast Haliny zobaczyłem Lidkę ze Skarżyska.

cdn.

Ex Libris ODGŁOSÓW



„Posłaniec” dotarł do nas najpierw jako piękny film Josepha Loseya, teraz dopiero w Klubie Interesującej Książki ukazała się powieść, która była pierwowzorem literackim filmu. Autorem „Posłańca” jest, urodzony w 1885 roku, angielski pisarz, Leslie Pole Hartley, absolwent ekskluzywnych szkół w Harrow i uniwersytetu w Oksfordzie. Hartley zadebiutował w 1924 roku zbiorem opowiadań. Wśród powieści, które przyniosły mu prawdziwy rozgłos, znajduje się również wydany w 1933 roku „Posłaniec”. Twórczość Hartleya jest w Polsce mało znana. Dotąd ukazywały się tylko dwa jego utwory. W roku 1907, w wyborze współczesnej noweli angielskiej „Życie innych ludzi” znalazło się opowiadanie „Cienie literackie”. W roku 1971 ukazała się w polskim przekładzie powieść Hartleya „Biedna Klara”. Oba te utwory ukazały się w PIW, który jest również wydawcą „Posłańca”.

Ci, którzy oglądali film Loseya, z pewnością pamiętają fabułę. Dla tych, którzy filmowego „Posłańca” nie widzieli, parę słów o treści. Akcja jej rozgrywa się latem roku 1900. Trzynastoletni Leo Colston spędza wakacje w wiejskiej rezydencji Brandham Hall. Beztrudnie z początku wakacje stają się dramatycznym i znaczącym epizodem w życiu bohatera powieści. W pięknej, wiejskiej scenerii życie jest tylko z pozoru wyidealizowane, leniwe i bezproblemowe. Chłopiec mimo woli staje się jednym z głównych bohaterów dramatu. Potajemna miłość między panną ze dworu i farmerem kończy się tragicznie. Mały Leo zaś pełni rolę posłańca między kochankami. Historię tę opowiada pięćdziesięcioletni już Leo

POSŁANIEC

Colston, samotny, zgorzkniały i nieszczerliwy, któremu jeszcze ta będzie dane odegrać rolę posłańca. Rzadko adaptacja filmowa tak wiernie oddaje nastroje pierwowzoru literackiego. W tym wypadku, czytając „Posłańca” odnajdujemy te same, co w filmie zwolnioną narrację, tę samą życiową zadumę nad skomplikowaną drogą ludzkich namiętności i sensem życia.

L. P. Hartley, „Posłaniec”, przełożyła: R. Grzybowska, PIW, W-wa 1978, str. 323, cena zł 35.

ANTHONY QUINN

„Grzech pierworodny”, autobiografia Anthoniego Quinna, wielkiego aktora, niezapomnianego „Greka Zorby”, jest bestsellerem wydawniczym ostatnich tygodni. Lubimy przecież grzebać w cudzym życiu, lubimy smakować pikantne szczegóły z życia bliźnich, a co dopiero jeśli podrużca je nam szkodliwa ręka sławny człowiek, którego co i rusz oglądamy na ekranie. Zresztą Quinn pisze nie tylko o tym, co mu się przydarzyło w życiu, oddając przed czytelnikiem swoje wnętrze, pisze o wściekłej pogoni za miłością wyjątkową, taką, która jest całkowitym oddaniem.

Książka Quinna rozgrywa się na dwóch płaszczyznach. Jedną, to fragmenty retrospektywne, w których aktor, syn Irlandczyka i Meksykanki, opisuje swoje dzieciństwo, młodość, mroźną i niebanalną drogę do zawodu aktora. Quinn przedstawia swoje życie w którym, wydawałoby się, osiągnął to wszystko, co jest marzeniem wielu ludzi. Był dzieckiem urodzonym i wychowywanym przez długi czas w skrajnej nędzy. Teraz jest człowiekiem sławnym, bogatym. A przecież Quinn nie jest człowiekiem szczerliwym. Dowiadujemy się o tym z fragmentów książki, które dzieją się współcześnie. To seanse u psychologa, które mają pomóc aktorowi odzyskać spokój, pozwolić na zgodę z samym sobą, znać przyczynę frustracji.

Autobiografia Anthoniego Quinna, ta brutalnie szczera książka, to nie tylko interesujący życiorys aktora, ale i ciekawe studium psychologiczne człowieka, który wyznał: „Kochać i być kocha-

nym bez warunków — to dla mnie najwyższy cel. Niemożliwość takiej miłości — to dla mnie grzech pierworodny, z którego rodzą się wszystkie inne grzechy”

Anthony Quinn, „Grzech pierworodny”, przełożyła: Z. Kierszys, PIW, W-wa 1978, str. 265, cena zł 45.

„NA PODBÓJ KSIĘŻYCA”

Norman Maller, autor m. in. „Nagich i martwych”, a także słynnej biografii Marilyn Monroe, wiosną 1969 roku zgłosił swoją kandydaturę na burmistrza Nowego Jorku. I wtedy właśnie tygodnik „Life” zgłosił się do niego z propozycją, aby pisał w literackiej formie przedstawienie programu kandydackiego „Apollo”. Rozesłała się wieść, że Maller otrzymał za cykl swoich reportażów milion dolarów. I w ten sposób pierwszy lot człowieka na Księżyc przekreślił polityczne ambicje pisarza. Skoro pisał miał otrzymać milion dolarów, nie było już chętnych na finansowanie jego kampanii wyborczej. A milion Mallerowi, to było za mało. I tak powstała książka „Na podbój Księżyc”. „Life” wydrukował ją w trzech odcinkach, w sierpniu i listopadzie 1969 roku i na początku stycznia 1970 roku Całość ukazała się w edycji książkowej pod koniec 1970 roku.

Praca Malleri „Na podbój Księżyc”, ukazała się właśnie nakładem „Książki i Wiedzy”. W krótkiej informacji nie sposób omówić jej wszystkich zalet i wad. Posłużymy się więc ztem krótkim cytatem ze wstępu napisanego przez Karola Szynkiewicza. „Maller świadomie wciąga nas w nastroje podniecenia, obaw, radości, zwątpienia. Jest to szczególnie rodzaj ekshibicjonizmu intelektualnego, który na początku denerwuje, a nawet razi. Po niwarszej secesie przyszedł jednak Mallerowi prawo do takiego obnażenia się ze swym „ja”. A to dlatego, że Maller po raz pierwszy w życiu, a kto wie, czy nie po raz ostatni, zetknął się z czymś, co okazało się większe od owego niezmierzonego „ja”. I w ten właśnie sposób zamiast Malleri na Księżycu, otrzymaliśmy Armstronga na Księżycu”.

Norman Maller, „Na podbój Księżyc”, przełożył E. L. Adamsy, PIW, W-wa 1978, str. 351, cena zł 70.

zdarzenia i zwierzenia

Czego, jak czego, ale codziennych zdziewień to nam życie nie szczędzi. Bierzcie człowieka do ręki pierwszą z brzęgu gazetę i szczerka mu opada ze zdziewienia. Czytam we wrześniowej „Poezii” prawdziwie piękny wiersz Doroty Chróściewskiej, ale coś ady kontemplacji osu-je mi komentarz (coś to zresztą za pomysł, aby poetom kazać komentować własne wiersze), w którym moja znakomita koleżanka upiera się, że... używa pełnych rymów, i że wiersz jest „regularem sylabotoniem”. A tak po prostu nie jest — ani rymów pełnych w wierszu niewiele, ani nie jest to sylabotoniem.

W „Życiu Literackim” natomiast, jakiś pan ze Słupski zapytuje: „Kto za takiego filozofa, jak Kazimierz Bieszyński?” Oczywiście jest to pospolita „literówka” Bieszyński nie nazywał się „Bieszyński”, ale czy test sens kruszy konicie o zwykła literówkę? Kazimierz Bieszyński był postacią na tyle znana, że nieaktorem test, a rachi drukarskiej pomylki, zadawać publicznie pytanie, kto go znał jako, filozofa. Ponieważ

CODZIENNE ZDZIWIENIA

ani pan ze Słupski, ani redakcja „Życia Literackiego” nie odpowiedzieli na to pytanie, przypominam, że ten tłumacz Bergsona, Ribota i Marksa, jeszcze w roku 1910 ogłosił studium „Mozizm a filozofia”, filozofie studiował w Heidelbergu, Berlinie i Lipsku.

A więc — był taki filozof, co podaje dla informacji pana ze Słupski. Dziwne tylko, że redakcja nie zairzała do lektury „Polscy pisarze współcześni”, gdzie znajduje się skromny biogram Kazimierza Bieszyńskiego.

Zresztą lektura pism niezmiennie daje nam okazję do zdziewień. Nie czytuję, co prawda, magazynu „Ekran”, ale ostatnio u mojego fryzjera była duża kolejka. Wziąłem więc ze stolika ilustrowane pismo, które akurat wydało mi się ciekawsze od pisma „Rzeczniśnik”. I rzeczywiście. W środku treść była skłaniająca do pracy myślowej.

Otóż przeczytałem blok listów na temat widowiska Grzegorza Królikiewicza „Konstytucja 3 Maja”. Wśród zgodnego tonu owych listów jeden zabrzmił mi dziwnie i właściwie nie wiem, co o nim myśleć. Chodzi o list podpisany „Grupa robotników z „Bankowej”, którzy

piszą: „Jak długo jeszcze trzeba czekać na zmiany naszej mentalności do wielu innych, drogich Polakom spraw? Mamy też satysfakcję, że my, robotnicy, wyprzedziliśmy Was, inteligentów, o wiele, wiele lat!” Koniec cytatu.

Nie rozumiem tego ostatniego zdania napisanego na marginesie widowiska o Konstytucji 3 Maja. Wynika bowiem z niego, że inteligent jest do tyłu „o wiele, wiele, lat”. Czy znaczy to, że trochę mniej do tyłu jest półinteligent, a już zupełnie niewiele do tyłu jest ćwierćinteligent? Nie wiem.

Nie wiem też, co sądzić o wypowiedziach młodych inteligentnych poetów, którzy w telewizji mówili na temat swojej twórczości.

Jeden powiada: „Jest źle, że jest łatwość debiutu, że tworzenie nie odpowiada za debiut”. Przepraszam — po pierwsze nieprawda, że jest łatwość debiutu, po drugie, co ma piernik do wiatraka.

Drugi powiada: „Jest źle, że poeta nie stawia diagnozy”. Kolego! Diagnozy zostaw lekarzom, ty, po prostu, jak mówi przysłowie: „Bądź mądry i pisz wiersze”.

Trzeci powiada: „Jest źle, bo nam jest potrzebny mecenas,

nie taki, który wydaje, ale taki, który się opiekuje”. Zawsze uważałem, że dla pisarza najlepszą formą mecenatu jest możliwość druku, a tu młodzi poeci chcą opieki. O co tu chodzi? O pichcenie kleików czy o wysadzanie na nocniczki? Jakiej jeszcze opieki potrzeba młodym autorom mającym w Polsce patronujące im wydawnictwo „Iskry”, miesięcznik „Nowy Wzrost”, Kola Młodych, stypendia Komisji Młodzieżowej ZG ZLP...

Nieopatrznie zostawiłem po tych wypowiedziach włączony telewizor i oto dobiegły mnie słowa: „Mam złamany stosunek do teatru”, a potem wyrzucenie: „zajęłam się teatrem i zaczęłam pisać”. Tym razem nie był to „młody zdolny”, lecz stary koń, ale daleko zdolniejszy.

Nieco znużony tym natłokiem zdziewień i niejasności, sięgnąłem na półkę po „Alchemię słowa” Jana Parandowskiego. Na szczęście są książki wiecznotrwałe, o klarownej czystości polszczyzny, na szczęście są książki mądre, które z natłoku codziennego bełkotu wyprowadzają nas w świat pełen powagi, jasności i precyzji.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH

JANUSZ SKOSZKIEWICZ



Ja tytuł ten ździebko poprawię, „POETA NA TRAWIE”.

Rys. Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

propozycje

W telewizji słyszałem onegdaj, jak pocztakujący studenci w „Siódemce” narzekali, że zupełnie nie wiedzą, jaki czeka ich program studiów i na przykład na wydziałach i kierunkach zupełnie humanistycznych nieoczekiwanie spotykają się ze statystyką, cybernetyką i innymi naukami w skład, których wchodzi matematyka, której tak nie lubią i od której uciekli na humanistykę. Ich narzekania są między innymi przejawem ogólnej niechęci do danych, cyfr, liczb i temy podobnej „matematyki”, bez której jednak, jak się okazuje nawet gospodni domowa sobie w życiu nie poradzi.

Danymi trzeba umieć się posługiwać. Nie twierdząc wcale, że posładać nie umiecie, ale lubie sobie od czasu do czasu poczytać jakiś rocznik. Zdarzyło się nawet tak, że któryś z moich znajomych znalazł na stoliku pod lampą rocznik statystyczny wśród książek przeznaczonych do przereżenia i przeczytania i powiedział z powatniewaniem: — Nie powiesz chyba, że czytasz to do poduszki? — Powiem — odpowiedziałem, bo istotnie czytałem „Rocznik statystyczny województwa łódzkiego” w czasie wieczornej lektury. Nie uwie-

KOCHAJMY STATYSTYKĘ!

rzył. — Cóż tam można wyczytać? — zapytał. — Bardzo dużo. — Na przykład?

Pomiędzy sorawy nalistotniejszych, a więc rozwój gospodarczy województwa, bo nad lekturą tabel dotyczących tej dziedziny trzeba dłużej pochylać się i uważnie je analizować. Ale na przykład test we wspomnianym roczniku taki dział: „Geografia, meteorologia”. Z tego działu można się dowiedzieć wiele ciekawych rzeczy. Ot, choćby, kiedy na przestrzeni ostatnich 8 lat było w Łodzi najcieplej. Najwyższe temperatury notowano w 1974 roku, bo 33,4 stopnia Celsusza. A kiedy notowano najniższe temperatury? Proszę bardzo. Najniższe skrajne temperatury zanotowano w 1971 roku, bo minus 26,3 stopnia C. A był to jednocześnie rok o najwyższej amplitudzie między skrajnymi temperaturami dodatnimi i ujemnymi, bo amplituda wyniosła wówczas 59,1 stopnia C. Najniższa amplituda była w 1976 roku, wyniosła ona 43 stopnie C. Sa to wszystkie temperatury zanotowane na Lublinku na wysokości 187 m ponad poziomem morza.

Październik tego roku miewamy wyjątkowo ciepły. Nawet niekiedy było cieplej niż latem. Wielu też żałowało, że takiej pogody nie było wtedy, kiedy oni byli na urlopie. A jakie były inne październiki? Stosunkowo ciepły październik był w

1970 roku, bo średnia temperatura wyniosła wtedy 7,9 stopnia C, później w 1971 roku, kiedy zanotowano średnią temperaturę w wysokości 8 stopni C, no i w 1977 roku, kiedy średnia temperatura w październiku była najwyższa od 1970 roku, bo wyniosła 9,2 stopnia C.

A kiedy mieliśmy tak mokre lato, jak tego roku? Deszczowy lipiec był w 1973, 1974, 1975 i 1977 roku. W 1973 roku suma opadów wyniosła w lipcu 141 mm, w następnym roku — 143 mm, w 1975 roku — 111 mm, a w ubiegłym roku — 106 mm. Z danych statystycznych wynika, że dużo korzystniej jest jeździć na urlop w sierpniu, gdyż na przestrzeni 8 lat tylko w ubiegłym roku suma opadów w sierpniu przekroczyła 100 mm i wyniosła 131 mm. Na oził suma opadów w sierpniu waha się w granicach 50 mm, co znów nie jest tak dużo jak na nasz klimat i tylko w 1972 roku była blisko 100 mm, bo wyniosła 93 mm. Wtedy można było mówić o deszczowym sierpniu.

Wiele można dowiedzieć się z „Rocznika statystycznego województwa łódzkiego”, a ja wybierałem tylko te dane, które mogą być atrakcyjne nawet dla najbardziej zatwardziałego „przeciwnika” statystyki. Ale, żeby nie tylko zabawić, powiem, że jest tam sporo danych ilustrujących zjawiska smutne i trudne. Na przykład:

„Ochrona środowiska”. Z działu tego dowiadujemy się, że mamy w województwie 39 fabryk uciążliwych dla otoczenia, z tego w Łodzi 33, a w tym 26 wyposażonych w urządzenia redukujące zanieczyszczenia. I że od 1976 roku sytuacja w tej dziedzinie nie zmieniła się. Ba, nawet się częściowo pogorszyła, bo jeśli w 1976 roku w Łodzi przemysł emitował 576 ton pyłów metalurgicznych, to w 1977 — ta niechlubna „produkcja” wzrosła do 734 ton. Śladami natomiast nieznacznie ilość emitowanych przez przemysł pyłów lotnych ale i tak było ich w ciągu roku 27,321 ton.

Według danych statystycznych najbardziej zanieczyszczone w Łodzi jest... śródmieście, gdzie średnia w ciągu roku spada na 1 km kwadratowy 234 tony pyłów. Najmniej zanieczyszczony Polesie — 184. W śródmieściu — jak to chyba powszechnie wiadomo — źródłem zanieczyszczenia są domowe piece do ogrzewania. Mniej jest tu przemysłu i bardziej go coraz mniej w miarę porządkowania tej części Łodzi i wynoszenia fabryk na obrzeża miasta do dzielnic przemysłowych. Ale na to przyjdzie trochę poczekać.

Wiele jeszcze ciekawych rzeczy można dowiedzieć się z łódzkiego rocznika statystycznego. Mniej lektury.

MARCIN RODAK

SZWAJCARSKA METODA

lewym okiem

Władze Szwajcarii ogłosiły niedawno gotowość wypłacenia premii w wysokości 1.000 franków każdemu urzędnikowi, który dowiedzie, że na zajmowanym stanowisku nie ma nic do roboty i czuje się niepotrzebny. Takie zgłoszenia mają następnie rozpatrywać specjalne komisje, które postarają się o zmianę zakresu czynności dla skarżącego się i uchronia go przed całkowitą frustracją.

Czytam tę zamiankę i przypominam mi się zdarzenie sprzed paru lat relacjonowane na łamach „Polityki”. Oto gruba wysoko kwalifikowanych pracowników jednego z naszych instytucji przemysłowych przesłała pismo — nie pamiętam, do zjednoczenia, czy do resortu — z prośbą o zwolnienie z pracy z powodu braku jakiegokolwiek zafecia. Pracownicy ci nie otrzymali ani tysiąca franków, czyli pięćset dolarów, ani ustnej pochwały z wpisaniem do akt za obywatelskie podeście do akcji uwalniania rezerw. Przeciwnie — dyrekcja odpowiednio przekonywała zarówno zjednoczenie i resort, jak i przedstawicieli prasy, że owi niesformni pracownicy mieli zaw sze pełne ręce roboty, i że ich prośba o zwolnienie jest aktem czystego warcholstwa.

Podoba mi się metoda szwajcarska: jest w niej aspekt humanitarny, bo obrone obywatela przed frustracją trzeba niewątpliwie uznać za ważny zabieg higieniczny, ale jest też zdrowy gospodarski rachunek. Lepiej dać urzędnikowi tysiąc franków jednorazowo, niż płać mu te same kwoty wielokrotnie, nie mając z niego żadnej pociechy, a jeszcze hodując sobie skwaszonego nihilistę. Może by kupić licencje i potróbować tej metody u nas?

Niestety, obawiam się, że byłoby pewne trudności wdrożeniowe. Nam też zależy na tym, żeby koszty społeczne wyrobu były jak najniższe, albo odwrotnie: wydajność pracy jak najwyższa. Organizujemy energiczne akcje uwalniania rezerw, co wygląda tak, że najpierw zakazuje się przyjmowania przez daną firmę nowych pracowników, a potem żąda się od teje firmy odstąpienia, po-

wiedźmy, dziesięciu etatów. Siedzą na tych etatach ludzie, a jest wśród nich może pięciu takich, którzy dość już mają siedzenia, aż piszcza żeby wręczyć coś pożytecznego robić. Cóż, firma ani nie potrafi tych pięciu rozsadzić, we własnym interesie i ku ich zadowoleniu wykorzystać, ani broń Boże nie uzna etatów za zbędne. Będzie ich bronić reklamą i nocami bo jak żelazo! no uczelniej analizie osiem, to jej określa piętnaście. Za pół roku przecież wszystkie te etaty mogą być potrzebne — a tu blokada i co zrobimy?

Jeśli ktoś — a znam takich — zacznie utyskiwać, że nie ma co robić przez długie regulaminowe godziny, że czuje się jak chodzące, nikomu niepotrzebne zero, to nie tylko współtowarzysze pracy nazwa go ciężkim fradem, ale jeszcze pracodawca zbeżza za nie-łojalność i oczernianie firmy. — Nie dość, że wana zatrudniamy, płacimy, dajemy czas — jeszcze pan chce coś robić? Siedź pan cicho i nie osu! polityki dyrektora!

Tu nie Szwajcaria. Tu podpada się niekiedy za taskrawe lekceważenie obowiązków służbowych, ale również często za „malkontentstwo”, polecające na natrętnym domaganu się zaliczenia w godzinach pracy. Człowiek — zamiast premi! szwajcarskiej — otrzymuje etykietę konfliktowca, macielca, narszywej owcy.

Ala może jest w tym jakiś wyższy sens? Może nie należy wynagradzać ludzi za to, że są ambitni i nie chcą brać czasu za darmo, lecz przeciwnie: chęć sobie pozwolić na luksus ambicji, to płac! Może pracownicy instytucji, o którym mówiłm, nie powinni pisać żadnych listów, tylko zapłacić po cichu swym przełożonym, żeby ich wyrzucili z pracy albo żeby im nareszcie pozwili! obawiać się tymi retortami, przyszkodami, guzikami... może to byłby nasz własny, bezdewizowy przyczynek do tak zwanego „kompleksowego przygotowania wiodących metod uwalniania przestojów...”

CWIEK

sport

W życiu bywa różnie. Wiedzie się człowiekowi dobrze do czasu, potem przechodzi jakas kleska, załamanie. Zgrany zespół odnosi sukcesy i nagle coś się psuje, nie wychodzi. W sporcie takich przykładów mamy na pęczki. Ale w sporcie przecież są ludzie — trenerzy, szkoleniowcy, działacze, którzy powinni kryzysy przewidywać wcześniej, wyłagać wniosków, w zarzoku likwidować nadchodzące niepowodzenia. Powinni starać się o to, aby występowała zbieżność ich interesów i planów z interesami i aspiracjami zawodników.

Od wieków wiadomo, że podstawa wszelkich sukcesów jest praca. Huberta Wagnera, który stosował wszechstronny i intensywny trening siatkarzy, przeważano „Katem”. Ale ów „Kat” osiągnął to, co zamierzał, wyprzedził polską siatkówkę na światowe wyżyny. Ciężka praca nie wszystkim jednak odpowiada. Wielu chciałoby mieć wielkie sukcesy przy minimum wysiłku, ale sam talent i dobre chęci to o wiele za mało. Przekonał się o tym już nie jeden mistrz, któremu się udało wdrzeć na szczyt i który myślał, że już tam zostanie, bo jest zdolny.

W tym układzie zawodnicy, trenerzy, działacze, są jeszcze ki-

PUNKT ZWROTNY

bice, dla których się w końcu to wszystko robi. Kibice są różni. Są naiwni, żywiołowi, niezdyscyplinowani. Ale są też kibice, którzy dobrze wiedzą, co wprawdzie na stadionie piszczy, których nie jest łatwo oszukać. Ci rozsądni, zorientowani kibice usiłują kształtować opinie publiczną. Nie zawsze z najlepszym skutkiem, ale robia co mogą. Oni też mogliby mieć swój coraz większy wkład w sukcesy niektórych dyscyplin sportu, gdyby choć trochę liczyli się z ich zdaniem, z ich sadami. Tymczasem trenerzy i działacze niektórych dyscyplin stosują stara „wypóbowana” metodę zapewniania wszech i wobec każdego, że „byczo jest”. Było znakomicie z piłką nożną przed „Mundialem 78” i jeszcze po „Mundiale 78” było fajnie, choć spierało się, które miejsce zdobyła polska drużyna: piąte czy szóste? Jakby to mogło zmienić fakt, że nie obroniliśmy trzeciego miejsca w świecie. Teraz, przed mistrzostwami Europy już nie jest fajnie. Jest niemal tragicznie, bo dopiero montuje się drużyna. A Jacek Gmoch pożegnał się z PZPN, nie odstawiając dalszej, społecznej współpracy, w która zresztą nikt nie wierzy.

Jacek Gmoch zapewniał wszystkich, że jest fajnie i drużyna jest tak przygotowana jak nigdy nie była, więc i rezultaty odpowiednio do tego stanu przygotowania będą. Później sukcesów

nie było i nikt jakoś nie pomyślał o tym, żeby dać mu możliwość publicznie wytłumaczyć się ze swoich publicznie czynionych zapowiedzi. Trochę szczerze, nawet burzliwej dyskusji o polskiej piłce nożnej nie zaskodziloby ani Jackowi Gmochowi, ani piłce nożnej, ani PZPN, ani prestiżowi kraju, o który tak się wszyscy martwimy. Postanowiono jednak, że cicho ma być nad aragentyńska porażką. Ale ta cisza trwać będzie do czasu, może się ona jeszcze odezwie ciekawka, jeśli PZPN nie stworzy warunków do szczerzej wymiany zdań między kibicami i tymi, którzy pilkę nożną tworzą. Lepiej skakać sobie do oczu na spotkaniach i na łamach prasy niż Kazimierzowi Deynie wybiłać okna.

Fajnie było też przed mistrzostwami świata w siatkówkę, które jak wiadomo odbyły się we Włoszech. Fajnie było do chwili, kiedy drużyna nie przegrała, kiedy nie nastąpiła całkowita klapa. Byli mistrzowie świata spadli na 8 miejsce, co było przemiłowaną u nas sensacją na światową skalę. I teraz okazuje się, że wcale fajnie nie było. Zawodnicy mają masę pretensji pod adresem trenera Jerzego Welczy, a trener Jerzy Welcz ma masę pretensji pod adresem zawodników. Pretensje mają też działacze i kibice. Słowem kryzys w pełni rozwinęty. Tylko się i płakać.

„Byczo było” też przed mi-

strzostwami świata w kolarstwie. Wprawdzie kolarze przegrali Wyścig Pokoju, lekceważąc kontraktowali Wyścig Dookola Polski, dostali lanie też w innych imprezach, ale ogólnie było fajnie. Przynajmniej w wypowiedziach trenerów, a między innymi w wypowiedziach Zbigniewa Rusina, tego samego, który teraz niemal płacze, że kolarstwo u nas nie jest masowe, nie ma rowerowych wyścigowych w sklepach, a i kluby ich nie dostają, że nie ma kadry rezerwowej, że to i że tamto. Chociaż nie jest tak bardzo źle, bo Kazimierz Sujka jest wicemistrzem świata, a Ryszard Szurkowski wziął pigułka, bo się leczy na wroto. Poza tym do Olimpiady w Moskwie wychowamy następów.

Fajnie było i nagle okazało się, że fajnie nie jest. I co więcej, okazało się, że o tych złych stronach tej czy innej dyscypliny wiedzieliśmy wcześniej, że znano źródła kryzysu. Wiece, co? Kogo oszukiwano? Na co liczyło? Na cud? Od dawna już wiadomo, że cuda się nie zdarzają. Bez pracy nie ma kolaczy — o tym wiedzieli nasi przapodkowie. Po co więc ta zabawa w ciuchubabkę? Jest to jeszcze jeden przykład na to, że sytuacja w sporcie wymaga uzdrowienia i to radykalnego.

BOGDA MADEJ